Nr. 46. Warszawa, dnia 14 (2) Listopada 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MOWA RUDINIEGO.

Jest rzeczywiście zagadkowem, czego się spodziewają ciekawi, którzy najwyższym wysiłkiem zdobywają sobie wstęp i mają wynajęte druty telegraficzne, od „wielkich mów,“ wygłaszanych uroczyście przez europejskich mężów stanu. Mowy te bowiem w ostatnich czasach nie różnią się między sobą nawet formą, a treść ich jest jak gdyby stereotypowana. Każdy wprawny dziennikarz może je ułożyć naprzód w głównej osnowie i nie pomyli się co do punktów zasadniczych. Tak np. czy wyobrażamy sobie, ażeby dziś taka mowa nie zawierała zapewnień, że budżet państwa jest prawie zrównoważony, że stosunki ze wszystkiemi mocarstwami są przyjacielskie, że zawarte sojusze mają jedynie cele obronne, że pokojowi nie grozi niebezpieczeństwo itd. Żaden minister nie odważyłby się pominąć któregokolwiek z tych zaręczeń. Śladem innych poszedł prezes gabinetu włoskiego, Rudini. Wszystko to powiedział, dodał tylko jeszcze, że rząd nie myśli naruszać ustaw gwarancyjnych papiestwa i ograniczać swobody stosunków między wiernymi a ich „ojcem św.“ Była to odpowiedź na świeżo podjętą agitacyę przeciw Watykanowi, a zarazem wytrąceniem z jego rąk broni, którą zaczął walczyć po wypadkach podczas pielgrzymki pątników francuskich.

Mowa Rudiniego wszakże odróżniała się od podobnych wystąpień jego poprzednika jednym rysem znamiennym — zupełnym brakiem wojowniczości i wyraźną chęcią zjednania Francyi. Wpłynęła na to niewątpliwie pewna zmiana w polityce włoskiej, ale także temperament ministra. Rudini jest człowiekiem spokojnym, rozważnym, nielubiącym opierać stosunków międzynarodowych na ostrzu noża i wywoływać wrzawy, która sprawiała rozkosz Crispiemu, noszącemu w swej naturze gwałtowność, zawadyactwo i wogóle namiętności południowe, które mu dostarczały dużo ognia i wiele sposobności do popełniania taktycznych błędów. Że włosi wolą tego spokojnego i pojednawczego kierownika, niż dawnego reżysera efektów politycznych, wierzymy najzupełniej z dwu względów. Naprzód po za grupą krzykaczów nie mają oni szczerej chęci do plątania się w niebezpieczne starcia, a powtóre pragnęliby wyjść z dotychczasowej biedy materyalnej. Crispi zwalił na nich ciężary długów, które rosły zatrważająco; Rudini obiecuje uwolnić ich od tych brzemion, a po części już uwolnił, a w każdym razie przyrzeka, że nowych ofiar od narodu wymagać nie będzie. Opłakany, wprost bankrucki budżet państwa jest mu za to bardzo wdzięczny. Może skutkiem tej oszczędności stracą Włochy na uroku jako państwo militarne, ale zyskają jako ekonomiczne, odzyskujące zachwiany kredyt i mogące pomyśleć teraz o złagodzeniu swej nędzy wewnętrznej.

Paryski *Rappel* mniema, że nie warto było mowy Rudiniego zapowiadać przez trzy miesiące, gdyż mieści ona w sobie tylko nakazany optymizm, zapewnia o silnem zespoleniu się z potrójnem przymierzem i okazuje zakłopotanie wobec Francyi. Uwaga ta jest najzupełniej słuszna, ale uznając ją i zaznaczywszy na wstępie stereotypowość wszystkich podobnych popisów oratorskich przed całym światem, nie powinniśmy poczytywać jej wyłącznie za wyraz nieudolności ministra włoskiego. W ten tylko bowiem sposób mogą dziś mówić wszyscy mężowie stanu, a zmusza ich do ogłędności, do „nakazanego optymizmu“ właśnie nadzwyczajna niepewność położenia. Kiedy „pokój jest zapewniony“ rzeczywiście, kiedy stosunki międzynarodowe są utrwalone, kiedy w nich nie tkwią nasiona groźnych waśni, kiedy je umacnia wzajemna ufność i dobra wola, wtedy ministrowie posiadają większą swobodę języka, bo wiedzą, że jedno dosadniejsze słowo, jedna zaakcentowana wątpliwość nie wywoła popłochu. Obecnie, gdy tych warunków powszechnej zgody brak, gdy dziennikarze rozpatrują pod mikroskopem każdy wyraz urzędowy i ogłaszają rezultat swego badania, gdy wyczulona lękliwość społeczeństw trwoży się lada napomknieniem, dyplomaci usiłują mówić jak najostrożniej, a przedewszystkiem wyśliźgiwać się powszechnej ciekawości zapomocą wypróbowanych ogólników, które niczego nie zdradzają. Jeżeli zaś odbierają „powinszowania,“ to nie za szczerość, ale za sztukę uniknięcia jej. Jak ściśle ważono bywają słowa przemówień z wysokiego stanowiska i jak łatwo budzą trwogę, przekonywa świeżo alarm dzienników, podniesiony z odpowiedzi cesarza austryackiego do delegacyj, który rzekł: „Z zadowoleniem mogę zapewnić was, iż ze wszystkiemi mocarstwami żyjemy w *przyjacielskich* stosunkach. Będąc w ścisłej zgodzie z naszymi sprzymierzeńcami, widzę w utrzymaniu pokoju najpewniejszą rękojmię rozwoju i szczęśliwości ludów. Rząd mój nie spuszcza tego celu z oczów; od *wszystkich* rządów nadchodzą do nas zapewnienia o równie pokojowych zamiarach. Prawda, że do tej pory nie zapobiegło to niebezpieczeństwom politycznego położenia Europy i nie położyło kresu powszechnym wojennym uzbrojeniom, ale skoro potrzeba pokoju uczuwana jest tak powszechnie i jednomyślnie, to ostatecznie nie wypada tracić *nadziei*, iż powiedzie się cel pożądany osiągnąć. Pragnąłbym, aby przypadło mi zwiastować moim ludom radosną nowinę, że teraźniejsze troski i ciężary zagrożonego pokoju znalazły swój kres.“ Ponieważ monarcha austryacki wyraził nie pewność, ale „nadzieję“ utrzymania pokoju i „pragnienie“ obwieszczenia swym ludom tej nowiny, więc w oczach prasy europejskiej zgasło nagle słońce i ukazała się na jego miejscu czarna chmura.

Rudini pamiętał o rezonansie, jaki jego słowa mieć będą, a ponieważ przytem nie miłuje takich efektów, więc poprzestał na tem, że w „wielkiej mowie“ nie powiedział nic ważnego.

Z GALICYI.

Lwów, 30 października.

Wobec rokowań Koła polskiego z rządem austryackim o zmianę głównego zarządu dróg żelaznych, o co już przez lat 14 z górą kołaczemy, ponosząc co rok cięższe ofiary, nie od rzeczy będzie przypomnieć nasze potrzeby i krzywdy, które ten węzeł kolejowy wytwarzają. Wiadomo, że pierwsze koleje galicyjskie zbudowano jako przedsiębiorstwo spekulacyjne i że interes kraju dla nich był tylko parawanem, który później ledwie ubocznie uwzględniono. Państwo przyczyniło się zapomogą do drogi Czerniowieckiej i Karola Ludwika, jako odbytowych na wschód w interesie swoich bogatych prowincyj niemieckich i czeskich i z tego punktu widzenia wpływało na układanie taryf. Wpływy osobiste możnych panków wystarczały, ażeby ze szkodą miast i całych okolic, z oczywistą stratą skarbu państwa, odwrócić tor na pustkowie, dla dogodności tego lub owego dygnitarza, towarzystwa zaś akcyjne, obcym kapitałem zakładane, niemiłosiernie kraj wyzyskiwały. Dopiero względy wojskowe zmusiły rząd do zbudowania linij konkurencyjnych. Kraj skwapliwie tego się chwycił i wszelkiemi ofiarami je poparł, pomimo iż nie odpowiadały one jego celom ekonomicznym, a zakładane dla korzyści czysto wojskowych, nieraz pomijały najważniejsze interesy handlu i przemysłu. Ponieważ zaś nie było ani pieniędzy, ani uczciwości w skarbie austryackim, więc powstały koleje, które są unikatami w Europie, jak np. Transwersalna, która na płaszczyźnie wykazuje spadki, przechodzące Semmering i na której po dwie lokomotywy nie są w stanie posuwać zwykłego pociągu. Stosunki kolejowe sprawiają, że Galicya zajmuje najniekorzystniejsze pod względem handlu i przemysłu stanowisko. Na południe odcięta jest od Węgier Karpatami i polityką taryfową. Węgry poprostu urządziły sobie cła od strony Galicyi, które najważniejsze produkty nasze z ich targu wykluczają. Na północ Galicya zamknięta jest granicą ruską, a transport przewozowy z Rosyi odjęty jej został przez zbudowanie równiejszych linij na Podolu, Wołyniu i Królestwie, które nizkiemi taryfami koleje galicyjskie ubezwładniły. Wogóle od południa, północy i wschodu jest kraj nasz otoczony państwami, mającemi przemysł znacznie już rozwinięty; albo też granice swe zamykającemi szczelnie przed wpływem wyrobów obcych. Wskutek tego Galicya, jako przeważnie rolnicza, musi szukać pola zbytu dla swoich płodów surowych na wschodzie, a wyroby przemysłu zużywać sama. Temu naturalnemu procesowi ekonomicznemu przeszkadzała dotychczas obok przemożnego współzawodnictwa obcych, w znacznej części tandetnych wyrobów z innych niemieckich dzielnic monarchii, zgubna polityka taryfowa, która je popierała.

Aby te przeszkody usunąć, starał się sejm nasz w drodze „rezolucyi" do rządu, wpłynąć na zmianę polityki taryf. Wiadomo, jaki los spotykał zwyczajnie ową sejmową pracę Danaid i jak zawsze pocieszano nas nadzieją upaństwowienia kolei Karola Ludwika, które te wszystkie cierpienia miało uleczyć niewątpliwie. Kiedy więc wreszcie nadeszła ta chwila upragniona i kiedy rząd przedstawił Radzie państwa wniosek o upaństwowieniu tak ważnej dla kraju linii, zaczynają żywioły centralistyczne bruździć na nowo. Żądania nasze są jasne i proste, koleje galicyjskie, stanowiące odrębną dla siebie całość pod względem geograficznym, powinny mieć własny swój zarząd, wyposażony szerokim zakresem władzy. Niepodobna przypuścić bowiem, aby dyrekcya, urzędująca w Wiedniu i złożona z ludzi, nieznających kraju, mogła z pożytkiem dla niego kierować sprawami naszych kolei. Słusznie zatem powinniśmy się domagać, aby ich zarząd znajdował się w kraju, a nie po za granicami jego i aby był oddany w ręce ludzi życzliwych i znających jego potrzeby. Musi on być nadto wyposażony odpowiednią władzą, musi mieć możność wprowadzenia takich zmian taryfowych, które zdołałyby się przyczynić skutecznie do pomyślnego rozwoju naszego rolnictwa i naszego przemysłu górniczego; miałby nadto obowiązek wszelkie dostawy na zaspokojenie potrzeb kolejowych dokonywać na miejscu i otwierać przez to pole zbytu dla wyrobów przemysłu krajowego, który pomimo ofiarności jednostek, pomimo pracowitości naszych rzemieślników, nie może wyjść zwycięzko z walki współzawodniczej.

Dyrekcya kolei państwowych z małych zaczątków, przy rozwinięciu się sieci, przybrała ogromne rozmiary. Dziś już długość ich wynosi przeszło 7,000, a po przyłączeniu drogi Karola Ludwika wynosić będzie przeszło 8,000 kilometrów. Służy tu armia dwudziestu tysięcy ludzi, z których 3,756 jest wyższych, 3,147 niższych urzędników, 7,024 oficyalistów, a 6,050 dróżników. Sama dyrekcya główna w Wiedniu zatrudnia przeszło 1,000 ludzi. Pomimo tej ogromnej ilości sił roboczych, urzędnicy są przeciążani pracą, która wskutek tego nie jest sumiennie wykonywana. Stąd zastój, a na liniach wypadki, w ruchu ogromne braki. Reforma stała się nieuniknioną. „Das System hat sich selbst gerichtet." Oto skutek i wynik centralizacyi zarządu.

Podczas gdy wszędzie administracya kolei została zdecentralizowana, zakres działania samoistnego naszych dyrekcyj miejscowych jest tak nieznaczący, że nawet drobne sprawy, jak udzielenie pozwolenia budnikowi, żeby sobie stajenkę postawił na koszt *własny*, musi być przedstawione dyrekcyi generalnej w Wiedniu. W całej dyrekcyi głównej na przeszło tysiąc ludzi jest tylko *trzech*. Na tylu generaldisektionsrathów, regierungsrathów, hofratów *jeden* polak i to na stanowisku nieodpowiedniem jego pracy i zasługom. A przecież w stosunku liczbowym powinnoby być co najmniej 30 procent polaków i ruskich na wyższych posadach w Wiedniu. Wobec takiego traktowania krajowców przesunięcie punktu ciężkości z Wiednia do Lwowa lub Krakowa jest jedyną radą, a reforma w kierunku decentralizacyi i zarządu dróg żelaznych staje się nieuniknioną. W reformie tej zająć powinno pierwsze miejsce zniżenie taryf. Te ostatnie posiadają dla nas stokroć większą doniosłość, niż cała Akademia umiejętności w arendzie stańczyków. Nowa taryfa węgierska ma dla całej Europy — bez przesady rzec to można — pierwszorzędne znaczenie cywilizacyjne. Za tym przykładem wszędzie zabrano się do reform, zarzucono stare, utarte szablony, a cokolwiek jeszcze w duchu tego postępu przyszłość przyniesie, wszystko będziemy mieli do zawdzięczenia węgrom. Po taryfie osobowej dostali oni rzeczową — dzieło równie śmiałe i wielkie, godne swego twórcy ministra Barosa. Zbyteczną byłoby rzeczą wobec tego wykazywać, że dotychczasowe taryfy na drogach galicyjskich nadal utrzy-

---

PRZED WYROKIEM

chwila z życia kobiety

H. Krzemieniecką.

Namiętność jak tygrys szarpała jej serce. On odjeżdża! Po za tą rozłąką czuje zerwanie zupełne, a nie może wyrzec do niego kilku słów, jedynych, jakie mogłaby wymówić w swem życiu. Stało się to, czego całym wysiłkiem woli pragnęła, a przez co teraz umiera z boleści.

Widuje go rzadko, całe tygodnie upływają zanim go zobaczy, ale zobaczyć go w każdej chwili może. Codziennie przyciskając wzburzoną głowę do poduszki, uspakaja się: jutro... A teraz miesiące upływać będą, serce jej będzie szalało z bólu i rwało się z tęsknoty, a ona go nie ujrzy.

W przyległym pokoju słychać klekotanie zegara i spokojne oddechy jej dzieci. Cały dom pogrążony w ciszy. Wszystko śpi.

Och widzieć go! widzieć! Gdyby na chwilę przycisnąć go do wzburzonej piersi, głowę przytulić do jego ramienia i ustami jego się upoić — długo — rozkosznie. Gdyby choć tylko spojrzeć w te oczy ciemne i czuć drżenie jego ręki przy swojej — jak wówczas. Pamięta: wieczór był posępny i szary; on ją sprowadzał ze schodów, a kiedy wsadzał do powozu, ręce ich spoiły się z sobą w uścisku długim — miękkim. Wysunęła lekko rękę z jego dłoni, ale nie miała siły wymówić kilku zwykłych słów pożegnania. On stał nieruchomy, dopóki powóz jej nie zniknął w tumanach mgły.

Dwa tygodnie później go nie widziała. Jej harda, czysta natura była wzburzona i zadraśnięta tą mimowolną, przelotną pieszczotą. Jakto? Ona, żona i matka pozostawiła dłoń swą w uścisku obcego mężczyzny? W tem przeciągłem dotknięciu, pozwoliła mu wyrazić, iż ją kocha? Czy nie tak zaczynają się w romansach te związki, które ją dreszczem wstrętu przejmują? Miałażby się stać podobną do owych kobiet? A może on ma ją za taką? Okropność!

Długo unikała widzenia się z nim. Nakoniec spotkali się w obcym domu. Irena stała pośrodku salonu, osypywana grzecznościami przez gospodynię domu, na które odpowiadała z uśmiechem, kiedy go zobaczyła. On powstał, wlepiając w nią swe smutne oczy, w których paliły się niepokoje dojmujących pytań. Na jego ukłon w milczeniu pochyliła głowę. I szalona radość zalała jej serce. Nie przemówili do siebie ani słowa, a jednak ona go zrozumiała. Nie, nie patrzy się w ten sposób na kobietę, której się nie poważa. On tylko bał się, bał się do szaleństwa, czy to uczucie, którego przebłysk zauważył, nie było chwilową igraszką jej kokieteryi lub może złudzeniem jego wyobraźni.

I znowu unikała go długo. Jej samej w piersi zapadło pytanie: do czegoż to doprowadzić może? I bolało ją, bolało, gniotło. Trzeba zapomnieć. Zmieniła tryb swego cichego, nieledwie klasztornego życia. Spotkała go na jednym wieczorze. Siedziała w kole kobiet strojna i uśmiechnięta, gdy on wyszedł z przeciwległego pokoju. Gdy przebywał salon, ruchy jego były jakby bezprzytomne. Zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Pozdrawiam rozbawioną damę.

Spojrzała na niego z wysoka, z lekkim uśmiechem.

— Jakimże epitetem mam pana uraczyć w zamian? — wymówiła niedbale.

— Odludkiem, nudziarzem — odparł.

Ona odwróciła się obojętnie do sąsiadki, kończąc z nią przerwaną rozmowę.

W ciszy, która ją teraz ogarnia, słyszy dźwięk każdego słowa, które wymawiali. Przez spuszczone rolety mdłem światłem przebija się blask latarni gazowych. Siedzi nieruchomo ze splecionemi rękami, przyciśniętemi do piersi. Oczy szeroko otworzone utkwiła w ciemną przestrzeń. Przed niemi przesuwają się obrazy chwil dawno minionych, a tak pamiętnych.

Jutro on odjeżdża. Przed nią rozciąga się szereg dni szarych, smutnych, długi, nieskończony. I tak na zawsze, przez całe życie, pozostanie sama ze swą cichą rozpaczą

mać się nie mogą i muszą ulcdz zasadniczym zmianom. Początkowo ustanowiono je według cen przewozowych drogą kołową, następnie regulowano je podług „kosztów własnych“ zarządu, wreszcie stosownie do wyników finansowych, podwyższano lub obniżano dowolnie, bez oglądania się na jakiekolwiek inne czynniki. Wpośród tej „manipulacyi“ na oślep, bez znajomości potrzeb i stosunków, wytworzył się system zgubny, który przetrwał dotąd, a polega na tem, że ustanawia się taką opłatę, jaką dany towar wytrzymać zdoła, to znaczy, że najdroższa dopóty utrzymuje się w mocy, dopóki ruch obciążonego nią artykułu całkiem nie ustanie. Pomijam wszelkie inne szalbierstwa, jak znane taryfy różniczkowe, protegujące obcą produkcyę z dotkliwą szkodą miejscowej. Dla ruchu towarowego żadna u nas kolej nie wprowadziła dotąd taryfy taniej w tej nadziei, że wzmagająca się ilość przewozów powetuje zniżkę, co następuje zawsze i wszędzie. Opłaty przewozowe tanie istnieją tylko dla kilku większych przedsiębiorców, a nie dla ogółu. Powodem wadliwości systemu jest po części zła wola, po części nieumiejętność i nieudolność kierowników. W wiedeńskim zarządzie centralnym urzędnicy, których zdanie jest rozstrzygające, nie mają wyobrażenia o Galicyi i jej stosunkach ekonomicznych; są to zresztą ludzie, którzy zżyli się z dawnymi szablonami i przesądami, którzy ani na chwilę nie zdołają oderwać się od przestarzałych form i uważają kolej państwową za przedsiębiorstwo, mające napełniać kasy ogniotrwałe.

Ostateczny wynik naszej polityki jest taki: dawniej rząd nie miał wpływu na taryfy dróg prywatnych i z tego powodu dla ekonomicznego podniesienia kraju w tym kierunku nic zdziałać *nie mógł*; dziś, mając koleje w swem ręku, *nie chce* czynić żadnych ustępstw, boi się reform, ogląda się na wszystko, tylko nie na najżywotniejsze interesy kraju. Zbyteczną rzeczą byłoby dodawać, iż wszelkie ułatwienia w tej dziedzinie mają doniosłe znaczenie, dość wspomnieć, że dla Galicyi, która na każdem polu pracy posiada niebezpiecznych współzawodników w zamożniejszych prowincyach ościennych, nawet nieznaczna zniżka opłat kolejowych może rozstrzygnąć o rozwoju lub upadku danej gałęzi produkcyi. Często drobny ułamek w centach ubezwładnia obcą konkurencyę, zwłaszcza gdy chodzi o artykuły, przewożone w większych ilościach i na dalsze odległości. Mamy ogromny obszar dróg żelaznych, będziemy może mieli własny ich zarząd, lecz bez samorządu w sprawach taryf ulusimy się z finansowego oszczędzania. Kraj zniewolony uważać koleje jako czynnik finansowy, a nie ekonomiczny, znajdzie się w położeniu owego generała, który dlatego wojen nie lubił, że mu armię niszczyły. Niebawem nie będzie już miała kolej państwowa żadnego współzawodnika w Galicyi, na któregoby się musiała oglądać, a ten stan rzeczy budzi uzasadnione obawy. Skargi na postępowanie z pasażerami, na odbiór i wydawanie towarów, na utrapienia formalne, które wytwarza coraz drobiazgowsza, coraz sztywniejsza biurokracya, utyskiwania na ślepą oszczędność, która nie osiągnąwszy żadnych rezultatów, cały byt kolei osłabia — mnożą się z dniem każdym. Maszyna administracyjna, krępowana coraz drobiazgowszymi przepisami z Wiednia, wśród których naczelnikowi stacyi nawet kichnąć samodzielnie nie wolno, działa jak automat, bez myśli i troski o publiczność.

Dzienniki krajowe krępują się dochodami z ogłoszeń kolejowych i grzecznościami wolnych biletów (znany i nas *schweiggeldzik. Red.*), skąpo a niechętnie użyczają miejsca coraz częstszym skargom. Ale przecież opinia ludności, której to wszystko już za skórę zalazło, musi w końcu przemódz interes tych i owych i wyprowadzić kraj z roli kozła ofiarnego. Narzekaliśmy dawniej na dysekcye kolei prywatnych, lecz był to tylko niewinny kloc z bajki Ezopa, zesłany żabom za króla. Niezadowolone żaby doczekały się teraz bociana — i ten je urządza.

Konia z rzędem możnaby dać temu, ktoby znalazł zadowolonego urzędnika lub oficyalistę przy kolei państwowej. Przygnieceni niemożliwym ciężarem służby, pracujący dniem i nocą przy ruchu lub ślęczący po 12 godzin w biurze i biorący jeszcze robotę do domu — żyją oni jak nędzarze, od jednej dyscyplinarki do drugiej (bo dyscyplinarki o lada dzieciństwo sypią się jak gwiazdy w noc św. Wawrzyńca), rabując mnóstwo czasu i papieru na protokóły biurokratyczne. Dawniej były jakieś ulgi, jakaś zapomoga, jakiś „Fischgeld“ — dziś natomiast mnożą się tylko kary pieniężne za każde uchybienie przeciw tysiącu „verordnungów.“ To też źle płatni, wiecznemi grzywnami okładani, obarczani pracą, z trudnością uzyskujący urlopy dla poratowania zdrowia — rozglądają się tylko za jakąś lepszą dolą. Ci zaś, którzy żadnej innej przyszłości przed sobą nie widzą, godzą się z losem i walczą ze znużeniem: Konduktor jeździ przez czternaście dni z rzędu, częstokroć przez 8 nocy jedna po drugiej, maszyniście i palaczowi dzieje się nie lepiej, a na tych mięśniach wyzyskiwanych, na tej istocie walczącej z zabójczem wysileniem, na tych wytężonych nerwach wisi jak na włosku bezpieczeństwo podróżujących. Pomiatają naszym węglem, naszymi wyrobami przemysłowymi, naszymi rzemieślnikami i przedsiębiorcami przy zaopatrywaniach i lekceważą bezpieczeństwo i wygodę jadących; płacą najgorzej służbie i wyzyskują do ostateczności jej siły — oto gospodarka wiedeńska. Nic też dziwnego, że cały personel drogi Karola Ludwika oddawna truchlał przed zbliżającem się upaństwowieniem jej, a dziś przyjął wiadomość o ukończonych układach, jako wieść Hioba. Gdy bowiem zazwyczaj wyższych urzędników kolei prywatnych, którzy ułatwiali upaństwowienie, umieszczają na dochodnych posadach w Wiedniu, niżsi muszą ustępować ze stanowisk, które sobie zdobyli. Polepszenia doli domagają się przedewszystkiem pracujący przy ruchu, w służbie najcięższej, stosunkowo źle opłacanej. Takich, co przy zielonym stoliku w Wiedniu podpisują akta, jest wielu, a płace ich bardzo wysokie. Jest bowiem trzech dyrektorów dyrekcyi głównej oprócz prezesa z płacą 9,000 złr., którzy pobierają po 5,000 do 5,500 złr., dwadzieścia i jeden radców dyrekcyi, otrzymujących po 4,000 do 4,500 złr., kiedy armia budników ma zaledwie 200 do 300 złr. rocznie.

Znane są przestrogi ojca, wypowiedziane synowi, wstępującemu w służbę kolejową. „Pamiętaj, że odtąd jesteś jedną nogą w grobie, a drugą w kryminale.“ Nie jest to u nas pusty frazes. W śnieg, deszcz, zawieruchę, w mróz, podczas burzy urzędnik ruchu wybiegać musi w nocy po kilkanaście razy na peron do przyjęcia lub wysyłki pociągów, resztę zaś godzin spędza przy aparacie telegraficznym i za taką noc pobiera 50 cent. dodatku. Pełniąc taką służbę nieraz przez lat 10, śmiało rzec może, iż przez 8 nie spał. Jeżeli zaś obok tego jest naczelnikiem stacyi, może bez przesady twierdzić, że przez owe 8 lat sypiał jak na

---

i nigdy niewyjawionym bólem. Przez całe życie, może jeszcze tak długie, będzie szła przykuta do człowieka, którego mężem swym zowie. Przykuta do niego, a taka sama! — zazdroszcząc jak nędzarz okruchom uczucia, wokoło spostrzeganym. Z cierpieniem dozgonnego skazańca przyglądać się będzie rozkwitom szczęścia i miłości wśród innych ludzi, gryziona cierpkiem przeświadczeniem, że szczęście to posiąść mogła — i że je od siebie odtrąciła.

Przeciwko sobie ma młodość własną, temperament gorący i namiętny, nakoniec świeżość sił swych.

Usta jej nigdy w życiu nie wymówiły „kocham.“ Był czas, iż słowa te dźwięczały jej rozkosznie i słodko. Był czas pierwszej młodości, gdy echo tych słów czarodziejskich rozlegało się dla niej w powiewie wiatru, w świeżym oddechu pól, w szumie liści i gwarze lasu, w ciszy wieczornej i drgającem słonecznymi promieniami rzeźwem powietrzu poranka; gdy cała przyroda zdawała się przesiąknięta jego rozkoszą, dysząca jego tajemnicą; gdy zdawało się, że wszystkie te dźwięki i czary ona przeniknie, z nimi się zespoli, że całą duszę tych stepów ogarnie, gdy pierwszy raz w sercu i z ust jej wykwitnie „kocham.“

I śniła wówczas o miłości wielkiej, głębokiej, wytrwałej; miłości, która ukochanemu raj otwiera i z drogi życia ciernie usuwa. Marzyła o człowieku, który ją po drodze tej poprowadzi kiedyś ku celom wielkim, o pracach dokonywanych wspólnemi siłami, w których miłością swą wspierać go i dopomagać mu będzie. Dzisiaj ma męża starego i sterganego życiem, zatopionego w grze karcianej, a czasem uwielbiającego i pieszczącego żoneczkę. Jakież to wstrętne, ohydne pieszczoty! Jak poniżają duszę a buntują ciało te pocałunki człowieka, do którego jest przykuta ślubnym pierścieniem, a przywiązana przysięgą! Jak pognębiająco bezsilną czuje się wobec tego uprawnionego i uświęconego gwałtu, znęcającego się nad jej ciałem!

Zegar klekoce zwolna, jednostajnie; słychać szelest płatków śniegowych, uderzających o szyby. Ona z głową rozpaloną miota się, a uczucia wirują w sercu. Nie może zasnąć.

Dwa lata już blizko, jak myśli o tamtym człowieku snują jej się po głowie, zalegają umysł i serce. Z trwogą śledzi ich olbrzymie postępy: z początku mgliste i niewyraźne, a tak miło rozmarzające i niejasne, że im się nie broniła nawet. Co szkodzi kilka chwil przepędzić w rozmarzeniu rozkosznem, co komu szkodzi ta złota iskierka w szarem, bezbarwnem życiu, które jest jej udziałem? Marzenia te słodko ją kołysały, śpiewając pieśń rusałek — i odbiegały; była wtedy spokojna; ale powracały znowu, coraz silniejsze, bardziej upajające i potężne; aż owładnęły, opanowały ją tak, że oto leży pod niemi bezbronna, oplątana, bezwładna. Strach pomyśleć! Nigdy nie miała większych wątpień co do wartości człowieka tego, jak w tej chwili. Kto on?

Gdy się usunie na chwilę od żmudnych zajęć gospodarskich, on zaraz przy niej w myślach się zjawia. Widzi go przed sobą, patrzy w niego, słucha jego słów i wiodą z sobą długie, długie rozmowy. Nawet w obecności męża, otoczona ludźmi, ona jest z nim sam na sam, jego głos tylko słyszy i rozumie: on jest rzeczywistością, wszystko zaś po za nim marą senną. Po twarzy jej przemykają cienie uśmiechów lub bólów, siedzi zasłuchana i zapatrzona w przestrzeń, a oczy utkwione nieruchomo i niby wewnątrz siebie patrzące, mglą się palącą tęsknotą lub rozjaśniają żarem marzeń. Z chwil tych budzi się upojona, niby senna, tajemnem drżeniem rozkoszy przejęta. O czem tak myślisz, Ireno? — pytają.

A ona radością i szczęściem oddycha. W tej tajemniczo prowadzonej rozmowie odkryła, że on ją kocha; kocha nie ambicyą mężczyzny, polechtanego zajęciem się pięknej kobiety, nie egoizmem pożądliwym, nie zadowoloną próżnością, ale uczuciem głębokiem i szlachetnem. Sam się męczy i tęskni.

Oto w swym gabinecie siedzi ze spuszczoną na ręce głową, a na otwartych kartach książki miga mu jej postać, dźwięczą słowa. I sam przemawia do widziadła tego, wlepiając weń swe ciemne oczy, smutno i niespokojnie. I słyszy głos jego:

skrzyni z dynamitem, bo przecież na nim cięży odpowiedzialność za wszystko, co się na stacyi dzieje.

Beta.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak już stępiała wrażliwość czytelników na kłamstwa i bezczelne intrygi gazet, goniących za rozgłosem, przekonywają coraz częściej zdarzające się od pewnego czasu i ogłaszane rozmowy korespondentów z dyplomatami, które wcale się nie odbyły. Mniejsza o nędzotę moralną spekulantów, którym wystarcza 24-godzinny kredyt ich zmyślonych doniesień, ale te tysiące, nieraz setki tysięcy abonentów, pozwalających tak niemiłosiernie drwić z siebie, stanowią ciekawą zagadkę naszego czasu. Przed tygodniem korespondent amerykańskiego *New-York Heralda* opublikował obszerną rozmowę swoją z ruskim ministrem spraw zagranicznych w Wiesbadenie o Francyi, Bulgaryi, sprawach rasowych w Rosyi itd. W kilka dni p. Giers zaprzeczył w jednej z gazet całej tej bajce, objaśniwszy przytem, że wcale korespondenta u siebie nie przyjął. Czy myślicie, że jutro inny reporter nie puści innej kaczki z tego samego gniazda? I ci panowie chcą, żeby ich nie lekceważono.

Giełda berlińska stanęła pod złą gwiazdą. Właśnie tryumfowała ona ze swej potęgi, zdoławszy obniżyć kurs wartości francusko-ruskich, gdy nagle zaczęły walić się jej „solidne domy." Jedne runęły skutkiem karkołomnych spekulacyj, inne skutkiem marnotrawstwa. Zwłaszcza zadziwiło i przeraziło cały świat finansowy bankructwo firmy Hirschfeld i Wolff, która posiadała takie zaufanie, że nawet rodzina cesarska i dostojnicy państwowi powierzali jej swoje depozyty, za które „szefowie" żyli sobie jak bogowie. Gazety niezależne od giełdy upewniają, że takich ryb wiele jeszcze pływa bezkarnie w jej mętnych wodach. To też przerażona publiczność rzuciła się tłumnie do banków prywatnych i zażądała zwrotu depozytów. Natłok był tak wielki, że aż musiano przywracać porządek zapomocą wojska.

Do duetu z Ridinim stanął Salisbury, który również odśpiewał pieśń na cześć pokoju. Co do Egiptu zaś oświadczył, że Anglia nie ma zamiaru go przywłaszczać sobie, ale musi strzedz od zaburzeń wewnętrznych i zamachów zewnętrznych. Skoro te racye jej opieki znikną, wtedy ona wycofa się sama — tj. nigdy. Gdyby zaś — dodał szanowny lord — jakieś obce mocarstwo miało panować w Egipcie, to tem mocarstwem może być tylko Anglia. Naturalnie.

Zdaje się, że „przywrócony porządek" w Brazylii długo jeszcze będzie przywracany. Prezydent Fonseca nie chcąc zgodzić się na nową ustawę, uszczuplającą mu prawo *veta*, rozwiązał parlament i zaprowadził w kraju stan oblężenia. Ale i jego przeciwnicy nie złożyli broni, owszem, stanęli do bardzo zaciętej walki. Niektóre prowincye ogłosiły swą niepodległość. Teraz prezydent będzie je musiał zdobywać, a wątpimy, czy mu na to sił starczy. Bądź co bądź w Brazylii zbiera się burza wojny domowej, której czynników nie można dziś jeszcze należycie określić, bo do Europy nadchodzą tylko telegramy wysyłane przez dyktatora, a więc fałszujące prawdę na jego korzyść.

Kongres pokoju ukończył w Rzymie swoje obrady, które — jak należało przewidywać — pozostaną bez wpływu na politykę bieżącą i tylko dostarczą kanwy rojeniom na temat braterstwa ludów i sądów rozjemczych, mających zastąpić wojnę. Zresztą zjazd ten w przebiegu swoim mienił się rozmaitemi barwami: większość jego członków chciała jednocześnie dogodzić i idei i rzeczywistości, a jak wiadomo, dwie te dziedziny, zwłaszcza w polityce, mają bardzo mało między sobą punktów stycznych.

BADANIA NAUKOWE.

KAPITALIZM A DZIENNIKARSTWO.

V.

Wiek indywidualizmu odznacza się tem, że systematycznie obdziera człowieka z najbardziej uprawnionej i na wskroś osobniczej własności: imienia. Wprawdzie i dawniej, w wiekach ciemięztwa pańszczyźnianego, jednostka ludzka była tylko przyczepkiem pewnego dominium pańskiego, zwała się istotą bez ojców i należała do tego lub innego szlachcica, który jedynie posiadał duszę imienną. Ale w miastach, gdzie zwolna kiełkowały siły wytwórcze, wrogie zależności feodalnej, imię było nieodłączną cechą człowieka. „Dzieło" głosiło sławę swego twórcy. Któż dzisiaj pyta o bezpośredniego wytwórcę? Stał się on jestestwem bezimiennem, kołkiem w olbrzymim mechanizmie produkcyjnym, słynącym jako pewna firma. „Grzmiący głos z góry pytał o imię każdego z nich. Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru, lub rękodzielni, albo li też liczbą jaką, bo własnego ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie..." I sama firma nowoczesna różni się od dominium feodalnego nieprzepartą dążnością w kierunku bezosobowości, przewybornie uwydatniającą się w powstawaniu przedsiębiorstw akcyjnych. Rzekłbyś, że doba indywidualizmu usiłuje zatrzeć zupełnie oblicze osobowe. Do jakiego stopnia duch szablonu kapitalistycznego rozsiadł się wśród prasy, o tem świadczy zapanowanie takiej samej bezimienności w produkcyi dziennikarskiej. Jedynie rzecz martwa, pismo, posiada imię i godła indywidualne, żywi ludzie, obdarzeni duszą różnobarwną, a wspólnymi wysiłkami wytwarzający ów towar imienny, zostali przyrównani do trzody bezimiennej. Dziwny to zaiste porządek rzeczy, który, jakkolwiek przywłaszcza sobie miano indywidualizmu, przecież pozbawia żywe istoty najprawowitszej własności, martwym zaś rzeczom nadaje osobistość! Jak kupujący tkaninę, pyta jedynie o fabrykę, w której ją wyprzędzono, podobnie wiarogodność jakiejś wiadomości lub znaczenie pewnego poglądu bywają oceniane według tego, w jakiem piśmie ujrzały one światło dzienne, autor zaś pozostaje zwykle ukryty. Nawet jeśli jeszcze podpisuje on swoje imię, a dusza jego, strącana w nicość, dopomina się o prawo bytu, i wtedy spożywca zwraca mało uwagi na te zabiegi indywidualności. Osobistość ludzka zaciera się w nazwie firmy, chyba że zanadto jest potężną, żeby nie przykuła do siebie uwagi powszechnej. A bezimienność taka wżera się też w produkcyę naukową i artystyczną. Weźmy chociażby pracownie Makarta lub Dorégo. Gdyby takie stosunki zapanowały powszechnie, w ma-

---

— Nie odwracaj się ode mnie! Nie odtrącaj mnie od siebie! Za co mnie męczysz i czynisz nieszczęśliwym? Na wszelkie ofiary jam gotów dla ciebie. Ty dla mnie stanowisz wszystko! Ja cię kocham!

Ona słucha tych słów czarodziejskich i świat jej w oczach się rozjaśnia, cały szczęściem płonie. Ukojenie spływa na nią łagodnie, słodko kołysze się i ogarnia falami rozkosznego rozmarzenia. W tych chwilach ciszy serce jej przepełniała jakaś niepojęta a upajająca słodycz, myśli wirowały w zamęcie, spływając się niekiedy w cudne obrazy wesela i spokoju. Szczęście promieniowało z całej jej istoty, wylewało się w spojrzeniach jasnych i przezroczystych, wyrywało w brzmieniach głosu dźwięcznego jak piosenka, w uśmiechach pełnych upojeń uroczych, w ruchach pełnych harmonii i wdzięku.

Lecz czyż to prawda? Przypomina sobie jakiś ruch jego, jakieś małoznaczne słowo, na które zaraz uwagi nie zwróciła, a teraz, ot nagle w pamięci się zjawiło. Nie, on nie kocha jej, a może nawet niezdolny uczucia jej zrozumieć i uszanować. Uważa ją tylko jako zabawkę zajmującą i przyjemną, za piękną kobietę, na którą patrzy z przyjemnością, a poromansowałby z ochotą. Schlebia jego próżności, że taka dumna i czysta, zajęta nim — musiał zauważyć. Może jej nawet żałuje?

Życie przed nią rozlega się bezbarwną i smutną, spaloną pustynią. Nigdzie radości, znikąd pociechy. A w sercu ból dotkliwy. Zdaje się, iż je gadzina okręciła śliskimi skrętami i jadowitą swą śliną opluwa, a ostrem żądłem kole; oczy jej patrzą zagasłe i milczące, głos jak gdyby rozbity dźwięczy głucho i monotonnie, postać pochyla się w przygnębieniu, a wartkie przed chwilą nóżki przesuwają się zwolna i ciężko. Czuje chłód, członki kostnieją z zimna, a w sercu ból fizyczny dolega: ściska się ono w kurczowych podrzutach.

Przycisnęła twarz do poduszki. Och, drogi! Czy ja będę miała siły ciebie się wyrzec? Głowa ją boli, w skroniach tętna biją jak młotem. Już dwa lata jej smutki i radości od niego spływają. Wspomnienia warem przesuwają się w jej mózgu — takie bolesne, a takie rozkoszne.

W powietrzu pierwsze tchnienie wiosny. Konary wyniosłych drzew zarysowują się na czystem tle nieba. Z rozkwitłych krzewów wznoszą się upajające, balsamiczne wonie. Szerokie ulice wysypane żwirem, lśniące puszystą zielonością polany kąpią się jeszcze w dziwnym blasku; pomiędzy gąszczem rozłożystych zarośli wiją się ścieżyny pełne świeżości, świergotu i cienia.

Idą drogą wspinającą się pod górę. Młode gałązki, miękie i gibkie, nabrzmiałe pąkami, zwieszają się nad nimi i delikatnie twarz muskają. On podaje jej ramię. Z tego męzkiego ramienia spływa na nią dziwna moc i czar, ogarniając jakimś urokiem przejmującym a potężnym, cichą a nieprzepartą mocą. Tajemnicza siła, pełna niepojętej głębi, pociąga ich ku sobie, jednoczy, krąży w ich żyłach, myśli zaćmiewa, oddech tamuje, bicie serca zawiesza.

Wokoło migają postacie przechodzących. Żwir skrzypi pod naciskiem licznych stąpań. Siostra jego bieży naprzód drobnym kroczkiem. Z za drzew wyłaniają się wspaniałe kontury wież kościelnych, połyskując złoconemi kopułami. Liście, poruszane świeżym powiewem, szumią coś przeciągle a tajemniczo. Kasztanowa aleja wznosi nad nimi wysokie sklepienia, osłaniając ich swym cieniem, otaczając szmerem gałęzi, pełnym uroczystego spokoju i zadumy.

Amour! amour! quand tu nous tiens — zanucił on półgłosem, a słowa te lekkiej francuskiej piosnki dysonansem zabrzmiały w jej uchu. Przejął ją nagle dziwny jakiś wstręt i chłód. Wysunęła rękę z pod jego ramienia i odsunęła się z zaledwie powściągniętą niechęcią. W tej chwili czuła do niego prawie odrazę.

Wspomnienia przepływają jedne za drugiemi. Tej strasznej nocy bezsennej przesuwają się w jej pamięci obrazy z tych dwóch lat ubiegłych, pełne wzruszeń głębokich, męczarni i trwogi.

Huczne zebranie. Powódź światła; tony skocznej muzyki; gwar głosów; strojne pasy w walcowym wirze. Irena wymówiła się od tańców i osunęła się na małą kanapkę pomiędzy oknami. On zbliżył się i usiadł obok. Wśród tego świetnego a rozbawiono-

larzu imiennym należałoby widzieć jedynie „inżeniera malarskiego,“ który wypracowywa plan obrazu i daje wskazówki. Tłuszcza najmitów artystycznych bez imienia wykonywa ów plan inżeniera: jeden maluje drzewa, inny oddaje fałdy ubrania, jeszcze inny — daleki widnokrąg. Inżenier nadaje obrazowi jednolitość i podpisuje swoje imię, właściwie — firmę. Ktoś podający te fakty, rzuca zapytanie, czy pewnego pięknego poranku nie powstanie spółka, złożona z czystej krwi kapitalistów, tj. takich, którzy dzisiaj gotowi handlować fałszowanem masłem, jutro zaś nabyć akcye jakiegoś domu nierządu, i czy nie zakupi pracowni inżeniera Munkaczego, pozostawiając go na stanowisku dyrektora fabryki obrazów?..

Wróćmy wszakże do naszego świata bezimienności dziennikarskiej. Rzekliśmy, że spożywca towaru drukowanego zwraca uwagę jedynie na firmę fabryki. I trzeba przyznać, że postępuje słusznie. Dante, gdyby odgadł był przyszłe męczarnie ludzkości, do obrazów piekła dodałby jeszcze jeden: wśród równiny jednostajnej, a monotonnej gromady ludzkie tarzają się w rozpaczy i wykrzykują, że odebrano im ich własne „ja“ i gdzieś zatracono albo też skuto. Lecz, w rzeczywistości tacy ludzie, cierpiący z powodu, że stali się przydatkiem do rzeczy martwej lub poddanym klasy kapitalistycznej, stanowią względnie nieznaczną liczbę. Większość podporządkowała wszelkie interesy swojej duchowości głosem natury realniejszej. Jedyną oznaką mojego „ja“ staje się kwestya, czy żołądek jest pełny. Jeżeli to jest, istnieje „imię“ i indywidualności stało się zadość. Wszelka prostytucya duchowa zostaje uprawniona, skoro prowadzi do tego celu. Jednocześnie wśród świata literackiego rodzi się odpowiedni nierząd ducha. Nawet imienny robotnik pióra pracuje w kilku fabrykach dziennikarskich i jakoś „współdrga“ i „współmyśli“ z rozmaitemi firmami. Niekiedy tylko zdjęty wstydem zmieni dla niepoznaki dźwięki, składające jego imię. Ten okaz sprzedającego się ssaka dwunożnego dzisiaj będzie się zwał Pawłem w jakimś organie kultu podkasanej spódniczki i plotek skandalicznych, jutro zaś Gawłem w piśmie dbałem o ożóg i świeczkę, to znowu, gdzie w zwyczaju jest wymyślanie histeryczne i zatracane walki za ideę w podjazdach natury osobistej, przybierze bohaterską postawę klowna, czującego że mu wolno kopnąć kogoś; gdzieindziej będzie czołgał się schylony niżej niż trawa. Czy spożywca towaru dziennikarskiego może przywiązywać jakąkolwiek wagę do tego, co mówi taki wszetecznik literacki? Czy nie jest rzeczą słuszniejszą uwzględniać jedynie samą firmę? I wszyscy są zadowoleni w tym najlepszym z najlepszych światów prócz garstki, biadającej z obawy utraty Swojego imienia... Zresztą, nie należy mniemać, żebyśmy wśród niej mieli do czynienia tylko z ambitnymi samolubami. Niekiedy skarga ta jest objawem tęsknoty, tej samej, która każe beczyć owcy oddzielonej od stada. Dzisiejsze firmy są zlepkiem mechanicznym, w którym żadna nić wzajemnej sympatyi nie wiąże ludzi. Człowiek, pozostawiony samemu sobie, tęskni za „duszą społeczną,“ za sojuszem bratnich serc i jednakich uczuć. W łącznem i braterskiem współdziałaniu zapomniałby o imieniu, a to, co dzisiaj zwiemy firmą malarską lub dziennikarską, byłoby wtedy jedynie nazwą wyższego jestestwa zbiorowego...

Mniejsza zresztą, z jakich powodów wytwórca pokarmu umysłowego chciałby posiadać imię; najważniejsza, że jeśli pragnie zasłużyć na nie w sposób sumienny, znajdzie drogę usłaną cierniami. Zwłaszcza należy to powiedzieć o krajach, licho opłacających pracę literacką. Zdolności, jakiemi przyroda obdarzyła człowieka, stają się przekleństwem istotnem. Przypatrzmy się chociażby stosunkom niemieckim. We Francyi istnieje zwyczaj, że każdy chętnie kupuje powieści. Książka rozchodzi się w mnóstwie egzemplarzy, a umożliwiając autorowi znaczne honoraryum, pozwala na staranniejsze opracowanie wątku. Tymczasem w Niemczech zapanowały czytelnie. Publiczność nie kupuje książek, lecz wypożycza je. Powieść, chociażby najlepsza, rozejdzie się w nieznacznej liczbie, a wynagrodzenie z konieczności musi być skromne. Autor, jeśli utrzymuje się jedynie z pióra, może istnieć przy bardzo natężonej wytwórczości. Zwolna zamienia się on na istotę, przykutą do stołka, bez możliwości studyów nad życiem, i „smaruje“ arkusz po arkuszu. Talent, nawet największy, przy takich warunkach ulega prędkiemu wyczerpaniu, a na jego miejsce wstępuje rutyna. Jednocześnie rdza przegryza charakter. Ażeby, pomimo wyjałowienia, znaleźć wydawcę, powieściopisarz schlebia smakowi czytelników, jak pieczeniarz swemu chlebodawcy. Twórczość przestaje być wyładowaniem się talentu, swobodną grą, że tak rzekę, wyobraźni i nerwów, natomiast jest produkowaniem paszy poczytnej — *Lesefutter*. Dodajmy do tego zwyradniające wpływy techniki wydawniczej i systemu najmickiego. Czasopismo jest przytułkiem, gdzie wszelkiego rodzaju płody literackie oglądają po raz pierwszy światło dzienne. Nowicyusz zjawia się do redakcyi z całym utworem. Lecz niech tylko wyrobi sobie stały odbyt, nie potrzebuje kończyć pracy. Krytykę, powieść, słowem wszystko pisze z numeru na numer. Rozumie się, charakter bohaterów ulega zmianie, zanim autor dobiegnie końca, a nawet to samo dzieje się z nazwiskiem, barwą oczów i włosów. Jak ujemnie taka technika odbić się musi na utworze, zbytecznem byłoby dowodzić. Wreszcie praca jest wynagradzaną na „łokcie,“ tj. od wiersza. W następstwie tego zjawia się nadmierne gadulstwo i rozwlekłość, obfitość rozmów itd. Jak najmniej powiedzieć, a jednak jak najwięcej zasmarować papieru, takie jest zawodowe przykazanie najemnika dziennikarskiego. Gdyby kiedykolwiek zanikła świadomość o dzisiejszych warunkach społecznych, lecz pozostały płody literackie, przyszli historycy literatury, nie wiedząc, co począć z tą wodnistością i rozwlekłością, przypisaliby ją niechybnie „duszy rasowej“ wieku XIX, tej kategoryi socyologicznej, którą uczony wysuwa naprzód, jak tylko czegoś nie zdoła wytłomaczyć. Utopią byłoby wskrzeszać dzisiaj ów jędrny a prosty i zwięzły język pisarzów świata starożytnego. Każda epoka dziejowa zgodnie z warunkami materyalno - społecznemi swego życia wypowiada myśli i uczucia we właściwy sposób. Dzisiejsza musi w stylu swoim odzwierciadlać istnienie wolnych najemników i wypłatę akordową wynagrodzenia.

Wszystko to są rzeczy, na które niełatwo przystanie człowiek, posiadający to głupie w rozumieniu ekonomistów mieszczańskich przyzwyczajenie, że nie patrzy na wielkość zarobku i mniej dba o rynkową wartość swojego utworu, więcej zaś o istotną, wewnętrzną. To uczucie niedorzeczne nie pozwala mu iść ścieżką czelności reporterskiej, wstrzymuje go od sztucznego mnożenia wierszy. A tymczasem

---

go i roztańczonego grona, obojgu cisnęły się do głowy myśli poważne i chłodne, głęboko sięgające pod powierzchnię życia. Piękna jej głowa zwracała się ku niemu spokojnie i dumnie, czarne oczy paliły się brylantowym blaskiem. Brzmiąco dźwięki tanecznej muzyki, wesoło, rozmarzone a banalne — aż tutaj dolatywały. Prowadzili obojętną rozmowę, pełną subtelnych spostrzeżeń i lekkiej ironii; ale spojrzenia ich szukały się nawzajem, pociągały jakby magnetyczną siłą, zatapiały się w sobie i oderwać nie mogły.

Przed kolacyą weszła do buduaru włosy poprawić. On tam stał oparty o stół, pogrążony w zamyśleniu. Przybliżył się. Kilka osób ich otaczało. Wymówił parę obojętnych wyrazów, ale wzrok jego zawisł na niej badawczy, rozgorzały a głęboki. Ona stała z podniesioną głową, bawiąc się wachlarzem, wyniosła i spokojna, z opuszczonemi rzęsami i zagadkowym półuśmiechem na ustach.

Obrazy zmieniają się i zastępują innymi. Wiele spotkań, tyle chwil pamiętnych a niezatartych.

Drzewa wówczas szumiały tajemniczo, powietrze było przezroczyste i różowe od zachodzącego słońca, na ziemię powoli spływała cisza i pomrok. Ona stała cała zmieszana, wzruszona i drżąca i nie chciała dotknąć podawanej sobie ręki. Czuła, że jeśli teraz połączą się ich dłonie, to czar ją przeniknie i ubezwładni głowy się im zamroczą i usta zleją. A tyle czystości dziewiczej promieniało z czoła tej kobiety — matki, że on milcząc opuścił rękę.

Przypomina sobie tę smutną przechadzkę po lesie, usiłowania spokojnej rozmowy. Białe pnie brzóz rysowały się w mroku, sosny wyciągały ku niebu potężne ramiona, pod stopami szeleściały uschłe liście i szyszki. Myśli ich plątały się i słowa urywały.

Żegnając ją, wyrzekł cicho:

— Pani tak rzadko bywa teraz u nas — i usta mu drżały.

Jej szeptem namiętnym z piersi wybiegło:

— Jeślibym ja jednakże...—urwała, milcząc skłoniła głowę i szybko odeszła.

Pamięta ten wieczór, gdy po raz pierwszy ze słów jego zrozumieć mogła, że ją kocha. Któż serce ludzkie pojąć zdoła? W tej chwili nie ulegała już urokowi, jaki pierwej nad nią wywierał; poczuła pełniejszą falę życia, rozpierającą piersi. Ogarnęło ją wrażenie bezmiernego tryumfu i wyższości; obudziła się zadowolona i pyszna odniesionem zwycięztwem próżność kobieca.

Przechadzała się po pokoju rzeźwa i wesoła, po ustach jej przebiegały uśmiechy. On patrzył na nią wzburzony, jak gdyby przejęty nagłą nienawiścią.

Wkrótce pożegnała jego matkę i odjechała. Wieczór był zimowy, mroźny. Wichura dęła, sypiąc w oczy ostremi igiełkami lodu, mróz ścinał oddech.

Sprowadził ją do powozu, nic ciepłego nie narzuciwszy, z odkrytą głową, szyją i piersią.

Zdawało się, iż w jego piersi szalały takie burze i bóle, że z przyjemnością nastawiał ją wichrom, które chłodziły ją i uspokajały głowę rozpaloną.

Teraz dopiero zauważyła, jak w ostatnich czasach zeszczuplał, blado i mizernie wyglądał. I objęła ją żałość bezmierna.

W kilka dni później oglądała świeżo przybyłą, ruchomą galeryę obrazów. Dzień był świąteczny, tłum przesuwał się i napełniał salę. Nagle ujrzała wynurzającą się ze ściśnionej masy jego wysoką postać. Poczuła, jak gorąca fala krwi przypływa jej do głowy, oblewając łuną czoło, twarz i szyję. W oczach jej pociemniało. Podniosła binokle do oczu, usiłując niby rozpatrzeć jakiś szczegół obrazu.

On był posępny i rozdrażniony. Prosiła go, aby się zatrzymał chwilę. Odmówił. Poczuła nagle, że z jego odejściem w tłumie tym zrobi się wielka pustka. Cierpkie uczucie osamotnienia ścisnęło jej piersi. Serce jej wyrywało się ku niemu.

Stanęła przed jakimś obrazem i oglądała go przez binokle, nie patrząc na odchodzącego.

(D. c. n.).

przy dzisiejszem ujarzmieniu prasy przez kapitał trzeba pisać wiele i prędko, rozprawiać nie o tem, co drga w piersiach i wre w umyśle, lecz co spodoba się spożywcom. Orgia kapitalistyczna wyznacza pisarzowi miejsce nie kaznodziei, lecz zastępcy pieczeniarzów patrycyuszowskich; nie śpiewaka z dobrej woli, lecz nieszczęsnego muzyka, który całą noc winien wygrywać walce i polki rozszalałej ciżbie tancerskiej. Ktoś rzucił się do literatury lub dziennikarstwa, sądząc, że znajdzie zarazem niezależny zarobek i możność apostołowania; taczka pisarska przyrosła z czasem do dłoni i stała się jedynem źródłem utrzymania, apostołowanie zaś stoczyło się w pieczeniarstwo, tj. schlebianie opinii lub potrącanie zagadnień najjałowszych, ale obchodzących czytelnika. Prasa w tych warunkach wysysa zwolna wszystkie soki żywotne, niby upiór, zdolności tępieją, polot myśli biegnie coraz niżej i coraz wolniej. Ściele się przed człowiekiem droga straszna, krzyżowa. Rozmawiałem kiedyś z pewnym powieściopisarzem. Rzucił się on do pióra z tych samych powodów, z jakich ryba pływa, ptak śpiewa. Uwiedziony nadzieją, iż w zarobku literackim znajdzie niezależność i możność wpływów, wycofał się z pierwotnego swego zawodu, nauczycielskiego. Po kilku latach musiał wyrzec się prawa myślenia — z braku czasu, a oddziaływania — ażeby nie oburzać wydawców. Stał się maszyną, produkującą powieści. Gdyby mu ktoś w swoim czasie przepowiadał, że weźmie się do kreślenia „tajemnic" stolicy i do spekulowania na wiersze, odtrąciłby to jak zniewagę. Talent, który posiadał, a który w innych warunkach społecznych stałby się dlań źródłem szczęścia, zaprzągł go jedynie do jarzma. Krasiński gdzieś wymownie maluje to zatopienie indywidualności ludzkiej w pracy jednostajnej i nużącej. Ludzie, każdy nad swoim dołkiem, oświecając go lampką, postawioną na głowie, pracują w rozpaczy; wzrok osłupiały jak u obłąkanca, czoło wyżłobione zmarszczkami, wszystko to wskazuje, że żyją niby automaty. A gdy któryś z nich, podcięty kosą śmierci, stacza się w dołek, dusza jego wznosi się jak modre obłoczki w kształcie nie ludzi, lecz kół zębatych, stępli, lewarów. W jakiej postaci obłoczka ukazałaby się dusza takiego najemnika lub rzemieślnika piszącego? Nie dziw, że nasz niewolnik nowoczesny, znajdujący się o tyle w gorszem położeniu, że nie stanowi czyjejś własności osobistej, lecz jest bezimiennie przypisany do całej klasy przedsiębiorców-kapitalistów, wypowiada jedno tylko życzenie: przespania jakiegoś roku czasu, bez pióra w ręku i myśli w głowie...

K. R. Żywicki.

ROZCIĘCIE WĘZŁA.

Długo oczekiwana, oznajmiona telegramami, ukazała się nam nareszcie, choć nie w całości, uchwała Akademii krakowskiej, dotycząca pisowni. Co dziś myślę o jej wartości, a zatem i o praktyczności, temi pytaniami od dni kilku zaczepiany jestem i sobie je zadaję; niech mi więc wolno będzie kilka słów tymczasowej odpowiedzi tu zamieścić.

Pisownię ustalić może właściwie tylko rozporządzenie władzy szkolnej; Akademie *umiejętności* (podkreślam ten wyraz) mogą i powinnyby jedynie pilnować, aby zasady *umiejętne* nie były pominięte w nakazie władzy odpowiedniej. Rozporządzenia administracyjne co do ortografii *mogą być* czasami nienaukowe; uchwały Akademji *powinny* być naukowe; dwa te twierdzenia nie potrzebują, zdaje mi się, dowodów.

Nie idzie mi tutaj o dekret władzy szkolnej; chcę pomówić tylko o roli w danym razie Akademii krakowskiej, Akademii *umiejętności.*

Każdy przeciętny człowiek z inteligencyi zgodzi się ze mną, że jeżeli rada szkolna danego kraju uda się do miejscowej akademii z prośbą o przyłożenie pieczęci uznania na jej opracowaniu, to akademia postara się o pogodzenie zasad opracowania z najświeższemi zdobyczami odpowiedniej gałęzi umiejętności, a w tym celu zwoła specyalistów, których ma w gronie swojem, pozwalając im porozumieć się ze specyalistami, nienależącymi do akademii, poleci im przejrzeć opracowanie, wysłucha go i odeśle radzie szkolnej do właściwego użytku.

Czy i jak w sprawie pisowni Akademia krakowska zastosowała się do poprzednio wymienionego sposobu postępowania, nad tem dziś nie będę się rozwodził, zamierzając wkrótce obszerniej i z dokumentami w ręku o tem pomówić. Obecnie odpowiem tylko na pytania: ile żywiołu *umiejętnego* znalazłem w tymczasowym komunikacie Akademii i co sądzę o *przyszłości* jej uchwały.

Komunikat otwarcie powiada, że Akademia „nie myślała o pisowni, opartej na zasadach umiejętności języka"; że pragnęła wybrać sposoby pisania „najdogodniejsze"; że miała wzgląd na „starą tradycyę" pisowni; że pozwoliła dopiero „*w drugim rzędzie* rozstrzygać wymaganiom etymologii i fonetyki"; że (co do *ledz, biedz*) „przyjęła nieprawidłowości, sprzeczne z nauką"; że (co do *starszy, zjadszy*) postąpiła sobie „wbrew postulatom nauki"; że w pisowni *ya, ia* przyjęła „sposób najelastyczniejszy, najbardziej godzący się z różnym sposobem (zapewne z *różnymi sposobami*) wymawiania."

Wyczytaliśmy w zdaniach powyższych szczere przyznanie się do umyślnego usunięcia wszelkich podstaw *umiejętnych* z uchwały o pisowni: dziwne to, nieprawdaż, jak na Akademię *umiejętności!* Zamiast nich, spotykamy zupełnie nowe w nauce pojęcia *pisowni dogodniejszej i najelastyczniejszej.*

Tyle co do strony zasadniczej. Co zaś dotyczy treści kilku w komunikacie wymienionych punktów, to oprócz tego, który mówi o *e* pochylonem, inne pięć są powtórzeniem przepisów Deputacyi z r. 1830. Wynika z tąd prosty wniosek, że sześćdziesięcioletnia praca specyalistów nad zasadami pisowni i sam jej rozwój naturalny w oczach komisyi ortograficznej z r. 1890 jakby nie istniały.

W ciągu długiego tego okresu powstała i dzielnie się rozwinęła nowa nauka, językoznawstwo; kilkudziesięciu pracowników stosowało ją do języka polskiego i do jego pisowni, znajdując, że postanowienia Deputacyi nie wszędzie były trafne i umiejętne. Dowiadujemy się z komunikatu, że wszystko to było nic nie warte. „Naj bude, jak bywało!„

Jakąż prognozę wróżyć można takiemu załatwieniu sprawy? Czy się wielu znajdzie takich, co pójdą za radą *dogodności* i *elastyczności* wobec umyślnego i otwartego ignorowania *wywodów* i *dowodów naukowych?* Czy przez uchwałę tę nie ucierpi powaga tej Akademii *umiejętności*, która *umiejętność* umieszcza „w drugim rzędzie"? W jakiem trudnem położeniu znajdzie się nauczyciel języka polskiego, kiedy, formułując wykład swój zasad pisowni, zmuszony będzie powiedzieć uczniowi: nauka każe pisać to tak, ale uchwała Akademii nakazuje pisać inaczej. Dla czego? spyta uczeń. Bo... bo... tak się jej spodobało...

Jeszcze uchwała ostatecznie nie sformułowana i nie ogłoszona. Może w ostatniej chwili to słów kilku przydadzą się do jej zmodyfikowania. W przeciwnym razie przewidywać należy, u nas przynajmniej, pewne jej niepowodzenie *).

Jan Karłowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Robert Mielke „Die Revolution in der bildenden Kunst." — Cornelius Gurlit, „Andreas Schlüter," sztuka polska w drugiej połowie XVII w.

Czytelnicy przypomną sobie zapewne broszurę Bleibtreua „Die Revolution in der Litteratur," która, jako jeden z pierwszych manifestów młodego pokolenia literatów niemieckich kilkakrotnem echem odbiła się w łamach *Prawdy*. Dziś mamy zdać sprawę z podobnego wystąpienia w dziedzinie sztuk plastycznych. Robert Mielke, mało jeszcze znany krytyk niemiecki, wydał broszurę p. t. „Die Revolution in der bildenden Kunst" **), która nietylko tytułem, lecz całym układem zdradza, że wzorowana jest na głośnej książce Bleibtreua. Autor reprezentuje „das jüngste Deutschland" w sztuce; program zaś jego różni się od literackiej wiary tego stronnictwa tem głównie, że kładzie nacisk na narodową podstawę nowej sztuki. Oto główne myśli pracy Mielkego.

Uważny obserwator współczesnych prądów estetycznych musi nabrać przekonania, że nie stanowią one ostatnich drgnień upadającej epoki, ani chwilowego podniecenia duszy ludów, lecz że są raczej zorzą nowej, wielkiej doby w życiu ludzkości. Dowodom zaś żywotności „młodych Niemiec" we wszystkich dziedzinach jest to, że do podobnych zmierzają celów—w poezyi, zarówno jak w muzyce i w sztukach plastycznych. Wobec tych niezaprzeczenie rewolucyjnych dążeń sztuki—Mielke mówi specyalnie o niemieckiej — zachodzi pytanie, jaka jest prawdopodobna jej przyszłość? Nie rozstrzyga on, czem jest piękno absolutne i nie sądzi, aby tę zagadkę kiedykolwiek rozwiązano; stwierdza tylko, że dziś z głębi ducha ludowego wyłania się nowy ideał, który bardziej odpowiada myśleniu i czuciu współczesnych, aniżeli ideały starożytności i Renesansu, wyrosłe na innych zupełnie gruntach kultury. Artyści niemieccy, którzy myślą o odrodzeniu sztuki swojskiej, zwracają oczy swe ku jej pierwszej wielkiej epoce, a za tem ku czasom Dürera i Holbeina. Wojna trzydziestoletnia przerwała wówczas normalny rozwój sztuki niemieckiej; dziś zaś po raz pierwszy nadeszła chwila dziejowa, sprzyjająca odrodzeniu.

Wszystkie donioślejsze peryody w dziejach sztuki łączą się z okresami życia politycznego w sposób łatwy do zrozumienia. Wówczas, kiedy cały naród pozostaje pod wpływem natchnienia, talent jednostek najbujniej owocuje. Upłynęło lat dwadzieścia od chwili zjednoczenia Niemiec, urzeczywistnienia wiekowych marzeń narodu; z chwilą tą rozpoczął się okres, w którym stosunki zewnętrzne i wewnętrzne sprzyjają powstaniu sztuki narodowej.

Że ona nie rozkwitła zaraz po powstaniu nowego państwa niemieckiego, tłomaczy Mielke tem, że pokolenie, które zjednoczyło Niemcy, hołdowało dawnym ideałom i niezdolne było do stworzenia nowych. Odrodzenia sztuki może jedynie dokonać

*) Pisownia, zalecana przez szan. autora powyższych uwag, różni się nieco od naszej. Jakkolwiek nie upieramy się przy swojej fanatycznie i poddalibyśmy ją chętnie zmianom zasadnym, czekamy jednakże aż sprawa ustalenia ortografii dojdzie do jakiegoś poważniejszego rozstrzygnięcia, niż ten wyrok Akademii krakowskiej. *Red.*

**) Berlin, Julius Bohne. 1891.

młode pokolenie, które wyrosło już w państwie zjednoczenia i przejęło się do głębi prądami nowoczesnymi.

Nowy okres znamionować się musi nowymi typami i nowymi środkami technicznymi.

Sztuka jest odzwierciedleniem każdoczesnej kultury. I obecna niemiecka odbija prądy, nurtujące cywilizacyę współczesną. Schyłek XIX stulecia cechuje się walką o społeczne stanowisko jednostek i klas, która wytwarza odpowiednie ideały. Na czele artystów, poświęcających się ucieleśnianiu ich, wymienić należy Adolfa Menzla; jest on ojcem owego socyalizmu palety, którego najznakomitszymi przedstawicielami są dziś Kampf, Skarbina, Uhde, Liebermann. Wszyscy ci malarze najchętniej obierają sobie typy z „czwartego stanu." Sztuka staje się znowu ludową, a tem samem znowu taką, jaka była dla ludu i dla kultury za czasów Dürera i Holbeina." Jednak nie w przedstawieniu nędzy leży punkt ciężkości; kierunek ten oznacza jedynie podniesienie się poziomu etycznego, a tem samem wzmocnienie zasobu zdolności artystycznych narodu. Rzeźbiarz Manzel w tym duchu skomponował „Zbrojny pokój," Reusch „Demona pary." Mnóstwo jest w przyrodzie rysów tajemniczych, dla których narody nowoczesne stworzyć mogą nowe postacie symboliczne, niemniej wyniosłe, aniżeli bogowie hellenów.

Tak powstaną nowe typy. Nowych *środków* zaś dostarcza naturalizm i wynikający zeń *plein-air*.

Naturalizm bynajmniej nie może być uważany jako dojrzały wyraz nowej sztuki. Ściśle biorąc, w sztukach plastycznych sam siebie unicestwia. Naturaliści skrajni twierdzą, że wszystko, co istnieje, jest prawdziwe, a zatem może być przedstawione. Lecz gdy malarz wykroi szmat z przyrody, nie może on wepchnąć do ram obrazu całej, która ten szmat otacza; zamiast niej widz ogląda ścianę pokojową. Wiadomo zaś, że kolory inaczej działają, skoro odmienne otrzymują tło; biała plama na tle niebieskiem wydawać się będzie niebieskawą, na zielonem — zielonawą itd. Studyum z natury nigdy więc nie stanie się dziełem sztuki, jeżeli nie będzie się liczyć z tą zmianą warunków; zasługuje ono na nazwę tę wówczas dopiero, kiedy artysta włożył weń pierwiastek, wypływający z jego uzdolnienia.

Mimo iż naturalizm dla sztuk plastycznych może mieć tylko znaczenie okresu przejściowego, nie można zapoznać dobroczynnych jego skutków. Dziś niepodobna sobie już wyobrazić, aby wrócono do dawnych teoryj kolorystycznych, odbiegających od prawdy. Pokolenie nasze, nielubiące się w barwnych szatach, w malarstwie dąży do kolorów delikatniejszych, mniej sztucznie zestawionych. Naturalizm dzisiejszy odtwarza je tak, jak je widzi; sztuka przyszła powróci niezawodnie do artystycznej kompozycyi barw, lecz nie trudno przewidzieć, że odziedziczy ona po naturalizmie zamiłowanie do *plein-airu*, a zatem do pewnego określonego akordu kolorystycznego. „Powietrze nie rozdziela, jeno łączy; łagodzi wszelki kontrast. Dlatego charakterystyczną cechą *plein-airu* jest przewaga tonu miejscowego. Przyszłe zamiast kontrastu barw postawi wielorakie zróżniczkowanie odmian." Będzie to nowy akord kolorystyczny, odpowiadający bardziej właściwościom atmosferycznym krajów północnych, aniżeli przesadny koloryt malarzów dawniejszych, przeszczepiony z ciepłego południa.

Naturalizm — Mielke mówi o niemieckim — ma dwa oblicza: z jednej strony dąży do pełnego scharakteryzowania zjawisk szczegółowych (Skarbina, Liebermann), z drugiej kusi się o oddanie ich całości (impresyoniści). Skoro oba te kierunki się połączą, wówczas „młode Niemcy" zdobędą się na twórczość, która dorośnie do wyżyn sztuki „starych." Mielke marzy o powstaniu wielkiej sztuki pangermańskiej u progu dwudziestego stulecia.

Praca jego, przepełniona dziwacznymi frazesami o reformie, odrodzeniu i przyszłości sztuki niemieckiej, nie zawiera, niestety, tego, za co by mu artyści najbardziej byli wdzięczni — charakterystyki *stylu*, właściwego dla dzieł tego nowego odrodzenia, o którem ma on niejasne wyobrażenie.

Znany estetyk niemiecki, Korneliusz Gurlitt, ogłasza studyum o Andrzeju Schlüterze *), słynnym architekcie i rzeźbiarzu niemieckim, który u schyłku XVII stulecia i na początku XVIII zajmował wybitne stanowisko w sztuce berlińskiej. Każdemu, kto zwiedził Berlin, musiał wpaść w oko posąg „wielkiego elektora" i szereg głów żołnierzy, umierających na arsenale. Są to dzieła Schlütera. Dla czytelników polskich studyum Gurlitta jest arcyciekawe: Andrzej Schlüter pochodził bowiem z Gdańska, tam ulegał pierwszym wpływom, a zanim wzięty został przez dwór berliński, przebywał w służbie króla Jana Sobieskiego i brał udział w budowie niektórych gmachów warszawskich. Gurlitt opisuje szczegółowo na podstawie źródeł ówczesnych ten okres życia Schlütera, co więcej, daje obraz stanu sztuk pięknych w Polsce podczas drugiej połowy XVII stulecia.

Nadmieniamy, że autor jest prawdziwym i bezstronnym uczonym, praca więc jego stanowi wcale cenny nabytek dla estetyków i archeologów polskich.

Ladawa.

*) Berlin, C. Wasmuth. 1891.

ŚRÓD MUZ

X.

Uporać się w kronice z całym najświeższym przypływem obrazów w salonie Towarzystwa Zachęty nie pozwala jego nadmierna gościnność dla... rozchylających się dopiero pączków talentu. Rzecz prosta tedy, iż tę ciżbę stworzonek naiwnych, najzabawniej w świecie zatytułowanych, a najczęściej kobiecą podznaczonych ręką, z żalem i współczuciem w sercu, pominąć wypada. Niemowlęctwo sztuki coraz łatwiejszy znajduje u nas dostęp do wystaw publicznych.

Gdyby tylko noworodki grzeszyły, jak w danym wypadku, zbytnią niecierpliwością ujrzenia siebie między dorosłymi. Najgorsza jednak, że i dojrzali lub dojrzewający przechodzą u nas rozmaite choroby dziecięce, coś w rodzaju malarskiej odry lub szkarlatyny. Ta ostatnia nazwa pasowałaby pono najlepiej dla dziwacznego stanu tych wszystkich, co się rozmiłowali w kolorowych, jeśli nie wysypkach, to wylewach. Każdy z dziatwy Apellesa, chcąc być szczerym, musiałby przyznać, że mu nie dają spać wawrzyny (!) impresyonizmu, to jest jego rozgłos i hałaśliwość, jego „knalleffekty," wywołujące zamieszanie śród ogółu i wielką gadaninę. Godność osobista lub tak zwana „ustalona firma" nie pozwala jednak iść w ślady nowatorów, bo tutaj już zaciągniętej pożyczki żadną miarą ukryć niepodobna. Trzeba więc znaleźć coś w rodzaju wykrętu artystycznego, któryby zastąpił owego jaskrawego wabia, czynił płótno rzucającem się w oczy i ozdobnem, a jednak wrzekomo nie zagrożonem nowymi wpływami. Kto jest z natury i uzdolnienia kolorystą śmiałym i silnym, jak np. Wyczółkowski, temu to przyjdzie z łatwością, ten podniesie tylko trochę skalę tonów pojedynczych i pożądaną dosadność osiągnie, ale w braku tego daru malarze nasi pakują niby nieznacznie najrozmaitsze ładne kolorki, istną tęczę tam, gdzie jej wytłomaczyć, usprawiedliwić niepodobna. Oczywiście nie zdają oni sobie sprawy z tego wielokrotnie stwierdzonego pewnika, że, nawet obracając się w granicach jednej tylko barwy z jej odcieniami, można, byleby pędzel miał siłę, tak samo zaciekawić oko wybredniejszego trochę widza, jak kombinacyą pamięciową, oderwaną, wszystkich kolorów wschodniego kobierca. Nie wątpimy ani na chwilę, że artyści aż nadto dobrze znają wartość wszelkich wylewów, ale są oni kiepskimi psychologami i spostrzegaczami, gdy chodzi o zagranie na gustach tłumu, bardziej wybrednego.

Bez żadnego wahania łączymy z ogólną tą uwagą nazwiska pp. Rapackiego i Ryszkiewicza. Pierwsze wrażenie, jakiego doznajesz na widok „Brzegu rzeki," piętrzącego się wałem kamieni, jest niewątpliwie dla autora życzliwe w wysokim stopniu. Jakie pyszne te ciężkie obłoki, prawie granatowo zabarwione, swym ciężarem płynące tuż nad ziemią. We dnie, przez pół słoneczne, chmury przybierają na widnokręgu ton niebieskawy, jedynie swą mętnością różny od świetlanego błękitu. Pan Rapacki doskonale go pochwycił i niemniej dobrze zestawił z kłębami bielszymi, które stanowią straż tylną na niebie. Jedne i drugie przesycone są, każde we właściwej sobie mierze, światłem, jednem słowem, uderzają prawdą i na razie przyciągają. Czujemy, że mkną, mkną szybko. Mogłyby też one same przez się stanowić zupełny i dobry obraz. Na nieszczęście jednak zajmują w nim miejsce upośledzone, główny bowiem nacisk położył artysta na samo wybrzeże, które również byłoby motywem wdzięcznym, szczęśliwie wybranym, gdyby nie kłuło oczów mnóstwem poszlak, że p. Rapacki nie zrozumiał jego naturalnej wartości i przeto zapragnął upiększyć je... kolorkami. Kiedy patrzymy na te przeróżne strugi wylanych na brukowce farb, wyobraźnia maluje nam artystę, siedzącego przed stalugami w głębokim namyśle: jakich tu użyć barw, żeby te proste, ordynaryjne, wedle przeciętnego smaku trywialne kamienie uczynić poetycznymi? A prawda, można uczepić się słońca i udawać, że się wierzy, iż ono po przez obłoki rozdziela swe promienie i rzuca na każdy z osobna głaz wszystkie kolory tęczy. Tak było czy inaczej, dosyć, że na widok tych dziwnych cieczy, płynących między kamieniami, przypomina się humorystyczne zastosowanie siejbowłosu. Szczegół ten podajemy tutaj, jako znamię mody, nie myśląc zgoła tak bardzo gorszyć się nim wobec tego, iż bądź co bądź płótno to jest jednem z lepszych na wystawie naszej krajobrazów. Z drugiej znów strony nie ukrywamy, iż zagadką nielada jest dla nas rozkład światła i cienia na nadbrzeżnym wale: pod chmurami jest jasno, a pod niebem czystszem ciemno; w górze przodem pędzą płachty gęstsze i mroczniejsze, a na ziemi odwrotnie: plamy świetlane poprzedzają teren zasępiony.

Pan Ryszkiewicz może by i potrafił oczarować swą „Kurną chatą," położoną uroczo pod lasem, śród zarośli i nad wodą, gdyby wszystkie efekta miały jednakowy pozór prawdy. Bo jeśli trafia do przekonania czarna tafla jeziorka, to podejrzanie wyglądają smugi sinawego dymu, który, wydobywając się z pod strzechy, nader malowniczemi liniami osnuwa drzewa i krzaki i tworzy coś w rodzaju niebieskiej, zanadto pięknej jak na ten brzydki świat, mgły, I to by jednak nie wadziło tak bardzo, gdyby nie dziwaczna ze wszech miar robota zarośli, są to raczej bezładnie powiązane i ustawione snopy wszelkiego zielska i chwastów. Najsłabszą zaś stroną utworu jest jego kolorkowość. Każdy krzak z osobna reprezentuje inną barwę, przyczem między jedną a drugą różnica bywa znacznie większa, niż między najbardziej odległemi od siebie odmianami zieleni. W ogólności zaś przeważa coś brunatno-sinego, co nadaje płótnu p

Ryszkiewicza jakiś przysmak wątrobiany, psujący całość nawskróś nastrojową i przy innem traktowaniu niewątpliwie bardzo poetyczną.

Całkiem innego rodzaju jest kolorystyczny nałóg p. Pawliszaka. Ten lubi idealizować gorące tony południa, wlewać w morze, w niebiosa i opary, okalające widnokrąg, tyle szafiru, ametystu, szmaragdu i opalu, że z jego łaski zaczynamy wierzyć, iż cudne Sorrento, a z nim i całe Włochy należą do okolic dziwnie bezbarwnych, bladych. Rottmann, malując Grecyę i wyspy morza Egejskiego, nie znajdował takich prze-boskich koncertów barw, jak szczęśliwszy od niego p. Pawliszak. Wobec jego widoków wszystko inne staje się zbiorem motywów z tak zwanej „mglistej Angli," kędy zamiast zwykłego powietrza masz tylko dymy i sadze. Nie mogąc jednak wykazać artyście naszemu przesady — wyrażamy się umiarkowanie — musimy brać jego wschód krymski takim, jakim jest. Daleko śmielej znak zapytania postawimy przed jego tatarami, którzy są tak dziwnie wysocy, smukli, eteryczni na swych koniach, jak gdyby zamiast kości mieli w sobie niebieską mgłę. Piękną jest rzeczą romantyzm, ale nie wtedy, gdy przypomina niesmaczną już, ckliwą i przestarzałą manierę Dorego. W każdym razie artysta ten zaznacza coraz widoczniej swą samoistność; znikają u niego do reszty naloty Brandtowskie, ma on już swój własny rodzaj, któremu można trochę nie ufać, ale odmówić niepodobna pewności rysunku, wyszukanej poezyi i daru światła. Zwłaszcza dobre są jego konie i prawdziwe ich ruchy przy wchodzeniu pod górę lub z góry.

Przechodząc do płócien, niezdradzających wcale pokusy kolorystycznej, rzucamy okiem na motyw zimowy p. Piotrowskiego, prosty i dobrze już ograny, ale mimo to uderzający prawdą, zwłaszcza w odrobieniu śniegu, który grubemi, puszystemi warstwami obciąża dachy domów. Istnym za to komikiem jest p. Owidzki. Figlarz to oczywiście nie mimowolny, ale z rozmysłu. Ażeby bowiem po tylekroć powtarzać jedne i te same dziury w konarach szpaleru, przepuszczające światło słoneczne na zwir alei — na to trzeba być Jowialskim. Nie zadawala się on jednak samym tylko efektem białych plam (niekiedy co prawda podobnych do łat na psie lub koniu), ale na tle ich urządza zazwyczaj sielankę. W obecnym wypadku składa ją dwoje ludzi tak twardych i sztywnych, jak gdyby ich zrobiono z drzewa, ale to z drzewa, dajmy na to... sparaliżowanego. Trudno mi wyjść z podziwu, że p. Owidzki nie przedziurawia „Owczarka," którego śpiewa z *Lutnią* i nie przelewa przez niego promieni słonecznych. Marnuje się ten talent, widoczny tutaj w wybornem stopniowaniu światła padającego z góry na różnej grubości gałęzie i w doskonałym tonie liści.

Pokolenie najmłodsze nie próżnuje. Po raz pierwszy występujący z większem dziełem p. Taljański, składa swą „Kuźnię bretońską" jako dowód, że ma zamiar uprawiać sztukę sumiennie i poważnie. Jest to płótno ładne z doskonale dostrzeżonymi refleksami ognia na otaczających przedmiotach, z wdzięczną grupą w głębi u okienka. Ogólny koloryt jest całkiem prawdziwy, światłocień u dwóch źródeł światła logiczny i tylko szkoda, że młody artysta posunął może trochę za daleko wymuskanie szczegółów, przez co całość cierpi na brak szorstkiego, dosadniejszego charakteru. Kuźnia ta jest nieco za miłą, za przyjemną, za... słodką i miękką po prostu. O wiele wątpliwszą wartość ma próba p. Lindemana, wyobrażająca jakiś plac w Paryżu, w chwili, kiedy mnóstwo przechodniów i pojazdów pędzi w różnych kierunkach. Ten zgiełk, to co francuzi nazywają „va-et-vient," uchwycony jest dobrze, widać i pośpiech i pewną tłumność, ale w całej ciżbie nie masz ani jednej twarzy, o której możnaby powiedzieć, że ma typ, wyraz lub coś podobnego. Trzech malców np. idących ze szkoły czy do szkoły, to wierutne potwory, takich głów na świecie nie ma. I jakby dla żartu powieszono ten obraz bezpośrednio obok polowania Fałata, gdzie głowy nie są znowuż tak bardzo duże, a jednak każda z osobna jest arcydziełem charakteru i finezyi pędzla. Na dobitkę p. Lindemanowi pośliznęła się snadź ręka przy malowaniu szeregu pysznych domów, obróconych do widza profilem, albowiem stoją one krzywo i bezwarunkowo muszą runąć na cały ten mozolnie wypracowany tłok.

Wszakże już całkiem nieszczęśliwie poczyna sobie p. Krzesz. Co oznacza ów rycerz, klęczący przed długo-sentymentalną dziewicą z żałobną krepą, w kościele? Kto tu „Zwyciężył i zginął"? Czy on, czy też jego towarzysz broni, o którego śmierci przyszedł oto oznajmić oblubienicy? Chyba że tak, bo w przeciwnym razie na co żałoba? Dlaczego następnie młodzieniec aż tak kornie w prochu się tarza, dlaczego zamiast być odwróconym głową ku pannie, klęczy raczej przed ścianą? Co robi kawałek księdza przy furcie? Jest to jedynie stek nonsensów nowelistycznych, tem jedynie ratujący się, że wszystkie materye są w nim malowane miękko i dosyć swobodnie.

Mogłoby się podobać bardzo „Zamawianie" p. Zarębskiego ze swem dobrem światłem, z wybornym wyrazem okadzającej chorą znachorki, raczej bezmyślnym i prostaczym, niż na gwałt wiedźmowskim, z niemniej szczerym wyrazem pacyentki, gdyby — proszę wybaczyć otwartość — układ obrazu i cały jego nastrój nie przypominały „Chorej matki" p. Zdz. Jasińskiego. Również monachijczyk z pierwszych swych występów, p. De Laveaux, malarz bardzo jeszcze młody, zaczyna sporo obiecywać. Jego widok odległego Paryża, jako wielkiej mgławicy światełek, linij i kształtów z wyniosłą wieżą Eiffla w pośrodku, jest niby błahostką, ale pełną dobrego smaku w wyborze punktu widzenia, w perspektywie i efektach pierwszoplanowych. Drugie tegoż pędzla płótno „Strach" pokutuje na ścianach Salonu nie od wczoraj, wywołując zgrozę estetyczną w jednych swą brzydotą, innych skłaniając do wzruszania ramionami przez „dziwaczny" obiór tematu. Mimo te wstręty i zdumienie, jest to szkic dużej psychologicznej siły, trącący nieco i holendrami i osobliwie hiszpanami Riberą i Zurbaranem. Nie łatwo oderwać oczy od tego skamieniałego lęku w szeroko wytrzeszczonych źrenicach, w kurczowo roztwartych ustach, w jeżących się na głowie włosach, spotęgowanego nadto szkarłatnem na twarzy odbiciem materyi w świetle gromnicy, która płonie na tle czarnego mroku.

Na zakończenie maleńka prośba do pp. artystów: ażeby cokolwiek trafniejsze napisy dawali swym obrazom. Tak np. na jednym z nich widać scenę podkuwania szkapy, a tytuł płótna opiewa „Wiosna..."

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE.

30 października.

Zbiory archeologiczne i estetyczne nowego muzeum dla sztuk pięknych. — Nowości budowlane. — Uczta na cześć architektury Hezenauera.

Wiedeń dotychczas zajęty nowem muzeum. W gmachu tym, którego strona architektoniczna sama już budzi podziw, mieszczą się skarby tak olbrzymie, a tak różnorodne, że trzeba parę razy zwiedzić sale, aby mieć bodaj ogólny pogląd. Nowe muzeum łączy w sobie zasoby ośmiu różnych zbiorów, które książęta habsburscy od wieków powiększali. Dzieła tu zgromadzone już przez Fryderyka III i Maksymiliana I, powiększył znacznie cesarz Ferdynand I, lubujący się w malarstwie i w starożytnościach. Synowie jego podzielili zbiory ojca na trzy części, które umieścili w Wiedniu, w Insbruku i w Gracu. Każda z tych części z czasem wzrastała. Ferdynand Tyrolski założył wspaniały arsenał, który wraz z dziełami sztuki przeniósł z Insbruku na zamek Ambras. Słynne zbiory ambraskie (Ambraser Sammlung) w r. 1806 przeniesione zostały do Belwederu, gdzie tymczasem znalazł też pomieszczenie spadek po arcyksięciu Leopoldzie Wilhelmie, namiestniku niederlandzkim, zawierający cenne zabytki z dziedziny malarstwa i przemysłu artystycznego. W Wiedniu powstał nadto t. zw. „Antikonkabinet," skarbiec domu cesarskiego powiększał się bezustannie, założono gabinet astronomiczny, cesarską „Jagd- und Sattelkammer" i „Garde-Meuble." W każdym z tych działów mieściło się mnóstwo rzeczy, należących z natury swej do innych.

Chaos ten ustał dopiero, kiedy cesarz Franciszek Józef polecił systematyczne ustawienie wszystkich swych zbiorów w salach nowego muzeum. Archeologowie zrewidowali je, wybrali przedmioty najcenniejsze, odkryli niejeden skarb zapomniany, a usunęli wszystko, co nie miało wyższej wartości; mimo to pozostało tak wiele, że byłoby prawie niepodobna ogarnąć całości, gdyby jej nie rozłożono umiejętnie.

Znajdujemy naprzód dwa działy główne: archeologiczny, mieszczący się w parterze muzeum, i galeryę obrazów, w salach pierwszego piętra oraz w niektórych drugiego.

Zbiory archeologiczne rozpoczynają się już na podwórzu, gdzie ustawione są wykopaliska z Gjölbaszi i starożytne nagrobki. Z westibulu zaś wchodzimy do sal egipskich, których powały wspierają trzy olbrzymie kolumny, wykopane w pobliżu Aleksandryi. Oddział ten jest niezwykle bogaty i przedstawia on rozwój całej plastyki egipskiej.

Starożytności greckie, etruskie i rzymskie również po większej części są utworami dłuta. Malarstwo starożytne ilustruje zbiór waz, należący do najbogatszych w świecie. Są tam dzbany na wodę (hydrye), na wino (kratery), na oliwę i popiół. Wszystkie niemal wybornie utrzymane, o pysznej glazurze, niektóre ozdobione czerwonemi lub czarnemi malowidłami wysokiej wartości artystycznej. Z rzeźb starożytnych zasługuje na wzmiankę posąg młodzieńca z bronzu, oryginał grecki z V wieku po Chr., wykopany w starożytnem Virunum (w Karyntyi); dalej t. zw. sarkofag Fuggerowski, jeden z najpiękniejszych sarkofagów starożytnych; wreszcie mała główka marmurowa, t. zw. Artemis z Tralles, pochodząca ze szkoły Praksytelesa. Nieprzejrzana jest ilość rzniętych i szlifowanych kamieni. W zbiorach wiedeńskich mieści się najwspanialsza kamea starożytna, jaką zna świat uczony: wielki onyks, na którym wycięte są głowy króla Ptolemeusza II i żony jego Arsinoy. Jest to cud przyrody i sztuki: artysta skorzystał z naturalnych warstw kamienia dla nadania odpowiedniej barwy twarzom, hełmowi, pióropuszom i draperyi.

Zbiór monet zawiera same niemal zajmujące okazy: ze 165,000 sztuk, mieszczących się w dawnym gabinecie numizmatycznym, wybrano tylko 5,244.

Zdumiewające bogactwa zebrano w dziale przemysłu artystycznego. Snać od wieków dom cesarski ze szczególnem upodobaniem gromadził kosztowności tego rodzaju; dziś zbiór ten jest najbogatszy w świecie, a zajmuje osiem sal. Dość wspomnieć, że w muzeum wiedeńskiem mieści się słynna solniczka Benvenuta Celliniego,

lana ze złota, wykładana emalią, o której tyle już rozpraw napisano, że są tam owe niemniej słynne burgundzkie szaty duchowne, na których postacie apostołów haftowane są z artyzmem niezrównanym.

Zbiór rynsztunków i broni należy również do największych w świecie; zbroje arcyksięcia Ferdynanda Tyrolskiego i księcia Aleksandra Farneze są arcydziełami sztuki złotniczej.

Galerya obrazów zyskała znacznie w nowem oświetleniu. Architekt, baron Hasenauer, zbudował dla obrazów wielkich sale z oświetleniem górnem, dla mniejszych zatrzymał dawne, boczne. W tem obfitem świetle wytryanęły z obrazów kolory, o których uroku nie wiedziano wcale. Zwłaszcza sala Rubensa zachwyca dziś widzów potęgą kolorytu. Galerya cesarska posiada parę arcydzieł tego mistrza, które uczczono obecnie, oprawiwszy w olbrzymie ramy złocone w stylu epoki Rubensowskiej. Ugrupowanie płócien według szkół narodowych pozostało niezmienione. Nowoczesną powiększono znacznie, lecz nie najszczęśliwiej; głównym jej klejnotem jest zawsze jeszcze „Sejm" Matejki. Nader zajmujący jest nowo utworzony oddział akwareli i rysunków ręcznych, w którym oglądać można szkice mistrzów pierwszorzędnych, zwłaszcza Makarta, Schwinda, Laufbergera.

Hasenauerowi zawdzięczają zbiory te niejedno urządzenie praktyczne. Dla archeologicznych urządził on nowego systemu witryny, które obecnie wprowadzają za przykładem jego i w innych muzeach. W galeryi obrazów wprowadził nowy sposób ogrzewania sal. Podczas gdy dawniej powietrze gorące wchodziło z cokułu ścian, atakując obrazy najniżej wiszące, Hasenauer skupił aparat cały na środku, nadał mu kształt ozdobny i otoczył go sofkami dla widzów.

Po otwarciu muzeum sprawiono mu wspaniałą ucztę. Gmach podobał się ogólnie. Po ukończeniu Burgtheatru, który akustycznie się nie udał, stanowisko Hasenauera jako kierownika budowli cesarskich było zachwiane. Dziś stoi on znowu na pewnym gruncie, gdyż ma za sobą opinię publiczną, decydującą u dworu. W odpowiedzi na toasty, wzniesione podczas bankietu, wykazywał trudności i odpowiedzialność, połączone z zawodem architekta. Budowniczy — jak zaznaczył Hasenauer nie bez dowcipu, a i nie bez racyi — to nie malarz, który utwór swój, gdy mu się nie podoba, może naprawić, a gdy mu się całkiem nie udał, może zatrzymać dla siebie. Pocieszył go dyrektor miejskiego biura budowniczego, Berger, staroniemieckiem przysłowiem:

> Wer bauen thut auf Markt und Strassen,
> Der muss die Leute reden lassen *).

Stwosz.

Z POZNAŃSKIEGO

6 listopada.

Związek nauczycieli. — Związek spółek i Bank związkowy. — Wystawa rolniczo włościańska w Sremie. — Biedny prezes prowincyi szlązkiej. — Komisya kolonizacyjna.

Znów rozpoczyna się pora zgromadzeń, walnych zebrań i sejmików, które mają za zadanie podać do publicznej wiadomości rezultat całorocznej pracy pojedyńczych towarzystw i stowarzyszeń. Chcąc przynajmniej częściowo nakreślić obraz tutejszego społeczeństwa, jego organizacyi i działalności, trzeba uwzględniać również i te zebrania, a nawet starannie je kontrolować. Co one zrobiły, to zrobiło również społeczeństwo, którego są reprezentantami, o ile one postąpiły naprzód, o tyle ono posunęło się, co one zdobyły dla siebie, staje się zdobyczą ogółu. Przebacz tedy, czytelniku, jeżeli teraz i w kilku następnych korespondencyach dokuczy ci szereg cyfr sprawozdawczych o ilości członków jakichś towarzystw, o dochodach ich i stratach. Bez tego nie można by orzec o rezultacie pracy mieszkańców Poznańskiego.

Zaczynamy od zebrania „Związku nauczycieli W. Ks. Poznańskiego." Odbyło się ono w Lesznie w pierwszej jeszcze połowie października przy współudziale 62 deputowanych różnych Towarzystw nauczycielskich, reprezentujących razem 1,395 członków. Związek prowincyonalny liczy obecnie 96 kółek nauczycielskich z 2,000 członków; w ostatnim roku powiększył się on o 14 Towarzystw z 265 członkami. Rezultat ten można by uważać za znakomity, gdyby nie ciągły niepokój, objawiający się u pewnej części członków Związku z powodu, że Towarzystwa nauczycielskie kwestye religijne zostawiają na uboczu, a zajmują się tylko sprawami, które wchodzą w zakres ich działalności. Niepokój ten zdaje się doprowadzi do tego, że Związek rozbije się na stowarzyszenia nauczycieli ewangelików i katolików, które, zasklepiwszy się w powłoce misyonarskiej, marnie poginą. Uchwalono założyć nowy organ dla Towarzystwa nauczycieli, który pojawi się już d. 1 stycznia 1892 r. pod redakcyą Richtora.

Drugim z kolei jest związek spółek polskich dla Poznańskiego i Prus zachodnich, który posiada swój „Bank Związku spółek zarobkowych." Miało ich Poznańskie w roku 1891 aż 60, Prusy Zachodnie 22. Wszystkie one są pożyczkowe systemu Schultzego z Delitzsch, w Prusach z odpowiedzialnością nieograniczoną, a w Poznańskiem 53 spółek z nieograniczoną, 6 z ograniczoną, a jedna z nieograniczoną dopłatą. Do związku należy tylko 72 spółek. Ponieważ nie wszystkie nadesłały swe sprawozdania, przeto tylko częściowo można określić ich działalność. I tak u 77 liczba członków wynosi 26,533, w Prusach 7,379, w Poznańskiem 19,154. Najmniej członków ma Grudziądz, bo tylko 20, a najwięcej Lubawa, bo aż 1,188. Przeważna ilość członków oddaje się gospodarstwu, bo 16,855 (z tego 12,885 gospodarzy i chałupników), przemysłowi i rzemiosłu 1,923, innym zawodom 2,909, niesklasyfikowanych zaś członków 4,865. Aktywa i pasywa w 74 spółkach wynoszą 16,980,741·61 marek.

Bank Związku udziela kredytu osobom prywatnym za odpowiednią gwarancyą, reguluje stan hipoteczny przy zaciąganiu pożyczek na małe, średnie i większe posiadłości, pośredniczy przy zaciąganiu pożyczek na małe, średnie i większe posiadłości, pośredniczy przy zaciąganiu pożyczek hipotecznych i landszaftowych, kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe krajowe lub zagraniczne, udziela zaliczki na zastaw hipotek pupilarnych albo papierów wartościowych, a dla swych interesantów zajmuje się pezpłatnie kontrolowaniem losowanych papierów publicznych.

Dla przedstawienia rozwoju tej instytucyi wystarczy przytoczyć, że bilans sum obrotowych wynosił pod koniec września 1890 roku 45,443,685 marek, roku zaś 1891 już 50,150,392 m.; rachunek salda pod koniec września 1890 r. 6,624,596 m. a 1891 8,569,462. Kapitał zakładowy Banku podwyższono w kwietniu 1886 o 460,000 m., tak, że cały fundusz zakładowy unormowano na pół miliona marek, obecnie zaś postanowiono go podwyższyć o dalsze pół miliona, które się zbiorą do końca r. 1895 przez rozebranie 5,000 akcyj imiennych po 1,000 marek każda. Zwracam przytem uwagę, że tak Związek spółek jak i Bank Związku są instytucyami nawskroś swojskiemi.

W Sremie po dwunastu latach odbyła się druga wystawa Kółek rolniczo-włościańskich, aby wykazać postępy, jakie rolnictwo zrobiło od lat dwunastu. Powiodła się ona pod każdym względem świetnie. Obejmowała następujące działy: chów koni, bydła i trzody chlewnej, maszyny i narzędzia rolnicze, płody rolne, rzemiosła i przemysł domowy, myślistwo i leśnictwo, warzywa. Rozdano 5 nagród pieniężnych, 17 w przedmiotach zakupionych na wystawie, 80 listów pochwalnych i 60 chorągiewek. Nagrodę w wysokości 100 marek przyznano gospodarzowi Banaszykowi.

Na wiosnę r. t. donosiłem w jednej z korespondencyj, iż Towarzystwo górnoszlązkie w Raciborzu zamierzało odegrać na cele dobroczynne „Piosnkę wujaszka" i „Łobzowianie-Zagrodzianie," a policya ze względu, że widowisko mogłoby między niemieckiem obywatelstwem wywołać wielkie wzburzenie, zakazała go. Towarzystwo wniosło na zakaz ten zażalenie do wyższej władzy w Opolu i do naczelnego prezydyum szlązkiej prowincyi we Wrocławiu bez skutku. Sprawa w ten sposób dostała się do głównego sądu administracyjnego w Berlinie, a ten zniósł zakaz policyjny i skazał naczelnego prezesa prowincyi szlązkiej p. Seydewitza, na zapłacenie kosztów całej sprawy, które wyniosą paręset marek.

W ręce niemieckie przeszły znów dobra Sarbia (pow. szamotulski) o 342 h.; sprzedała je mistrzowi mularskiemu Bergerowi dotychczasowa ich właścicielka p. Prusimska. Dnia 24 października kupiła poznańska komisya kolonizacyjna w toruńskim sądzie okręgowym na terminie subhastacyjnym wieś Lulkowy o obszarze 1.060·94 h. za 615,000 marek, tj. morgę po 145 mr.

A. n.

PAMIĘTNIK.

Półsłówka.

Zdawałoby się, że przynajmniej tam, gdzie sprawa opiera się na cyfrach ścisłych i rachunkach, prowadzonych pod odpowiedzialnością prawną i moralną, wszelkie spory powinnyby mieć rozstrzygnięcie bardzo ułatwione i niewątpliwe. Jak wiadomo, od lat kilku istnieje w Warszawie Towarzystwo sprzedaży i oczyszczania spirytusu, które miało być dźwignią i osłoną dla przemysłu wódczanego u nas. Z początku ta maszyna szlachecko-kapitalistyczna działała prawidłowo i jak wzorowa niewiasta według Peryklesa nie dawała sposobności do publicznego mówienia o sobie. Od lat paru wszakże zaszły w tym najwyższym szynku pewne zatargi, ujawniły się swary i pretensye, a wreszcie skargi: na bezład, nieumiejętną gospodarkę, sztuczne tworzenie bilansów. Ponieważ przedsiębiorstwo to nie jest spółką zwykłą, lecz akcyjną, zmuszoną do publicznych obrad i sprawozdań, przeto wkrótce jego tajemnice, kłopoty i waśnie przeniosły się do prasy. Najmocniej odbiły się one w roku bieżącym, gdyż nurty wewnętrzne najsilniej zatrzęsły instytucyą. Między zarządem, dyrektorem i komisyą rewizyjną wybuchnęły ostre, rzec można — gorszące starcia, które groziły Towarzystwu zupełnym rozstrojem i upadkiem. Ogarnął je tak niepokonany duch zniechęcenia, że nowo wybrani do zarządu mandatów przyjąć nie chcieli, i dotąd jeszcze nie wiadomo, kto ujmie w swe ręce ster przedziurawionego statku. Naturalnie pisma peryodyczne, jedne mniej, inne więcej, w sprawozdaniach swoich z zebrania rocznego uwydatniły ten stan rzeczy, najenergiczniej wszakże zaatakowała Towarzystwo *Gazeta losowań*, które jego kierowników postawiła w stanie ostarżenia. Niektóre jej zarzuty powtórzyliśmy na odpo-

*) Kto buduje na rynku i na ulicach, musi się na to zgodzić, aby ludzie go obgadywali.

wiedzialność źródła, zaznaczając potrzebę naprawy złego. I oto opiekuńcze duchy zdyskredytowanego przedsiębiorstwa postanowiły „oczyścić i zrektyfikować“ opinię publiczną. W *Niwie* i *Gazecie warszawskiej* ukazały się jednocześnie artykuły, które odkryły nam... spisek. „Są koła — twierdzi *Niwa* — które mają interes w podkopywaniu Towarzystwa, a mają one zaufanych swoich, którzy systematycznie nad tem pracują.“ „Stała się rzecz dziwna — pisze *Gazeta warszawska* — nie założyciele instytucyi, nie bezpośrednio zainteresowani w gorzelnictwie, lecz ludzie obcy, czem innem zajęci, nowo powstali akcyonaryusze, ci podnieśli alarm, zwoływali ziemian na posiedzenia *przedwstępne* i *przedwyborcze*, a ziemianie, zazwyczaj hardzi, ulegli tym razem zawołaniu handlujących i biegli na te posiedzenia, gdzie im wystawiano w jaskrawych barwach co było i nie było, a zawsze tak, jak chciano.

Właściciele gorzelń swe głosy, dla zadysponowania losem własnej ziemiańskiej instytucyi, poodstępowali prawem przelewu ruchliwym agitatorom, którzy poczuwszy przewagę swych głosów, zadzwonili na trwogę, a *znalazłszy pomoc w pismach i pisemkach barwy semickiej*, rozdęli swe argumenta tak, iż podkopali byt instytucyi.“

Teraz już wiemy, jaki to dyabeł zmordował niewinne dusze, pozostaje nam tylko zbadać, jakie sucho wierzby w prasie dały mu schronienie. Ale właśnie tę dość ważną kwestyę autorowie obu wspomnianych artykułów musnęli tylko półsłówkami. Może to wystarcza im, ale nie wystarcza nam. Zarzut ten, wyrażony w języku prostszym, oskarża naprzód pewne „koła“ o niecne zabiegi z zamiarem zgubienia pożytecznej, sumiennie i prawidłowo gospodarowanej instytucyi, a następnie pewne „pisma i pisemka,“ które wynajęły się do zdrożnej i nieobywatelskiej roboty w tym podkopie. Ponieważ powtarzaliśmy cudze nagany dla Towarzystwa oczyszczania spirytusu, więc mamy prawo zapytać, czy rzeczywiście pisma te ofiarowały swą „pomoc“ w „podkopaniu bytu instytucyi“? Nie chcieliśmy bowiem i nie chcemy nawet mimowolnie służyć „kołom, które mają w tem interes.“ Jeżeli zaś nam wyjaśnienie tej sprawy wydaje się pożądanem, to dla organów, które podjęły rolę prokuratorską, a zwłaszcza dla *Gazety losowań* jest ono konieczne, a nie przypuszczamy, ażeby ona mogła lekkiem sercem znieść to półsłówkowe posądzenie.

Wstyd!

Czytamy w *Gazecie policyjnej*:

„Właściciel domu pod nr. 5 przy ul. Brackiej, inżenier Józef Skibiński, urządził przy kanalizowaniu wspomnianej nieruchomości nowy ustęp, poprzednio zaś istniejący w piwnicy stary dół kloaczny, który stosownie do § 6 przepisów o kanalizowaniu domów należało odpowiednio zdezinfekować, a następnie zasypać czystym, sypkim materyałem, samowolnie przerobił na mieszkanie, składające się: na parterze z jednego pokoju z kuchnią i przedpokojem, oraz w piwnicy: z jednej sutereny z ciemnym korytarzem. Wypadek ten, wyróżniający się pod względem charakteru przekroczenia przeciw przepisom sanitarno-budowlanym, przekonywa mnie, że pomimo usilnych mych starań i przedsiębranych odpowiednich środków, mających na celu polepszenie sanitarnych warunków miasta, nie wszyscy właściciele posesyj chcą współdziałać tym zamiarom, przez co nader trudno jest osiągnąć pożądane dla dobra mieszkańców rezultaty. Z tego powodu...“ itd.

Jakież to paskudne! Nie dziwilibyśmy się, gdyby coś podobnego zrobił prostak, niemający pojęcia ani o hygienie, ani o szkodzie, jaką wyrządzić może zdrowiu lokatorów, którzy tem tylko mu zawinili, że wynajęli u niego mieszkanie. Ale człowiek inteligentny, rozumiejący dobrze, na co ich naraża, umieszczając w takiem siedlisku miazmatów! Doprawdy chcielibyśmy wierzyć, iż jest to wypadek wyjątkowy. Niestety, chęć zysku tak często oślepia ludzi, skądinąd przedstawiających pewną wartość moralną, przeklęty pieniądz tylu wiedzie na rozmaite pokusy, że trudno nie być pesymistą. Ten urządza mieszkanie w dole kloacznym, tamten wynajmuje niezdezinfekowane po zaraźliwej chorobie, inny buduje „oszczędnie“ dom, który może się zawalić — w głowie się mąci na myśl, ile sideł zastawia chciwość dla zdobycia złotych okruchów! Najczęściej jesteśmy wobec niej bezbronni i tylko możemy powiedzieć: wstyd. Chociaż zemsta słaba a środek bezskuteczny. *W.*

Nowy tom.

Estreicher wydał nowy, XII tom swojej *Bibliografii*, zawierający w abecadłowym porządku opis druków z XV do XVIII stulecia. Poprzedził on go obszerną przedmową, w której polemizuje ze swoimi krytykami, odpiera ich zarzuty, broni swojej pracy i zasługi wobec udziału kopistów, którzy mu dopomagają, wreszcie skarży się na obojętność ukształconego ogółu względem olbrzymiego i kosztownego wydawnictwa. Między prenumeratorami liczy ono zaledwie 16 księgarń polskich i *trzy* redakcye czasopism (*Biblioteki warsz.*, *Prawdy* i *Przeglądu tygodniowego*, w Galicyi — ani jednej). „Liczymy — powiada Estreicher — więcej niż dwieście księgarń polskich i więcej niż sto bibliotek publicznych i prywatnych, mimo to, smutna rzecz, jest prenumeratorów na dzieło wydawane dla księgarzy i bibliotek okrągła liczba 72, tj. u Gebethnera w Warszawie 42, a u Friedleina (w Krakowie) 30. Pokrywają oni zaledwie koszt papieru i introligatora. Za to drugie tyle egzemplarzy gratis się rozchodzi. Choć co roku zbiegowstwo coraz liczniejsze (od początku wydawnictwa ubyło przedpłacicieli 108), druk pięciuset egzemplarzy wytrwale posuwać się będzie.“ Jak widzimy, wielki, imieniem długotrwałego pomnika ochrzczony gmach uległ temu samemu losowi, co skromne chaty i domki — ludzie unikają go, bo żąda od nich zapłaty. Bądźmy wszakże sprawiedliwi; jeżeli my — księgarze, nakładcy, uczeni, literaci, redaktorzy nie chcemy prenumerować *Bibliografii* Estreichera, która dla nas jest głównie przeznaczona, to czyż możemy mieć pretensyę do ogółu za to, że on nie nabywa naszych książek i wydawnictw? Jesteśmy krwią z krwi i kością z kości jego, więc ile razy unicestwimy się przeciw niemu zgrozą, poszukajmy dla niej uśmierzenia w sobie.

Obywatele świata.

Nazwa „kosmopolity“ jest u nas ciągle mianem uwłaczającem. Gdyby między nami urodził się Epiktet lub Marek Aureliusz, nauczylibyśmy przekupki żegnać się z odrazą przed tymi wyrzutkami społeczeństwa. Co zaś zrobilibyśmy z Dyogenesem, toczącym spokojnie swą beczkę, gdy inni biegli na pole bitwy — trudno nawet sobie wyobrazić. Ale ta swojska kredka służy tylko do zapisywania zasad; dla czynów bowiem istnieje zupełnie inna. Złorzecząc kosmopolitom, można a nawet wypada jednocześnie: małpować francuzów, anglików, holendrów, wszelkie gatunki ludzkie, jakie ziemia na sobie nosi, a zarazem wynaturzać się z własnego. Do najlepszego tonu, do najzaszczytniejszych tytułów należy obywatelstwo świata. Nie dziwi też nas wcale, że—jak donosi *Kuryer warszawski* — hr. Korwin-Milewski zapisał swoją bogatą galeryę obrazów... Pinakotece monachijskiej. To — szyk! Gdyby ów hrabia podarował swoją galeryę naszemu Towarzystwu zachęty sztuk pięknych, byłoby to może rozsądniejsze, uczciwsze, ale jakże ordynarne! Nie zapominajmy, że nasi przodkowie wjeżdżali do Rzymu na koniach, mających słabo przybite podkowy złote, ażeby łatwo odpadały i ażeby włosi, zbierając je; chwalili wspaniałomyślność gości. Dziś na to nas nie stać, zresztą nie znamy odpowiednich sposobności do popisu; co najwyżej możemy obdarowywać cudzoziemców legatami. *O.*

Muzeum Chopina.

Śród tumanu przeróżnych projektów, „ankiet,“ pomysłów, zrodziła się myśl utworzenia muzeum pamiątek po Chopinie. Zabiegi około urzeczywistnienia jej zwrócono naprzód do Woli Żelazowej (pod Sochaczewem), gdzie stoi jeszcze domek, w którym nieśmiertelny muzyk ujrzał światło dzienne. Zapewne w tem błogiem mniemaniu, że właściciel Woli i domku powita myśl samą i jej orędowników z zapałem, grono literatów i artystów pojechało na miejsce. Tu wszakże spadł na nich niespodziewany strumień zimnej wody. Szanowny obywatel bowiem, rozumiejący, że gdzie wiatr dmie silnie, tam należy postawić wiatrak, oświadczył gotowość usunięcia pachciarza, który zajmuje izdebki Chopinowskie, i ofiarowania pamiątkowego domku na muzeum za... 5,000 rs. Zadanie to wydało się inicyatorom tak wygórowane, że postanowili nie ruszać pachciarza, a dla Chopina wynaleźć inną siedzibę. *Wiek* głosuje za Warszawą, w której wielki artysta również mieszkał i która pamiątki po nim otoczyłaby lepszą opieką, a zwiedzającym je dała łatwiejszy dostęp. Kto tam będzie jeździł do Woli Żelazowej, zwłaszcza gdy musiałby zetknąć się z jej wymagającym właścicielem! *W.*

Miara arcydzieł.

Pozwolcie mi jeszcze raz głos zabrać.

Pan B. Prus usiłuje w ostatniej kronice *Kuryera codz.* wykazać swoje racye lekceważenia opery Mascagniego i swoje prawa do krytyki muzycznej — w następujący ciekawy sposób:

„Czy *ja*, kompletny nieuk muzyczny, miałem prawo pisać o „Cavallerii“?.. Proszę uważać: nie umiem grać, nie przepadam za muzyką, nie znam nut i nawet nie rozumiem, dlaczego piszą się dziwacznymi znakami na pięciu liniach, zamiast liczbami — na jednej?

Otóż — gdyby o „Cavallerii“ mówiono: jest to opera ładna, ma nowe melodye, nowe sposoby harmonizowania tonów itd., wówczas — ani bym się odezwał.

Ale — gdy od pół roku, rano i wieczorem, kładziono mi w głowę, że „Cavalleria“ jest „arcydziełem,“ a Mascagni „geniuszem,“ ja, muzyczny nieuk, czyli — przeciętny słuchacz, mam doskonałe prawo głosu.

Bo „arcydzieło,“ inaczej: „wielkie. piękno,“ jest taką rzeczą, której przynajmniej — pewne części działają nawet na prostaków.

Gdy słyszysz marsza z „Tannhausera,“ czujesz, że przy tej muzyce mogłyby maszerować pod tryumfalnymi łukami gwardye napoleońskie. W „Miserere“ najmniej muzykalne serce odczuje: żal, rozpacz i zgrozę. W piosence Małgorzaty chyba głuchy nie pozna, że jest w niej rzewna słodycz.

Wezmę największe dzieła. Jest sonata Bethovena, której słuchając, ma się uczucie — jakiegoś wielkiego falowania.

Może być, że „Cavalleria“ posiada duże piękności dla „znawców,“ ale ja — nie rozumiem ich i nie czuję.“

Zgodziwszy się na określony tu probierz rozpoznawania arcydzieł, przypuśćmy, że po p. Prusie wystąpi ktoś inny i powie: ja, „kompletny nieuk muzyczny,“ uprawniony jednak do wyrokowania o arcydziełach, wyznaję, że w „Miserere“ wcale nie słyszę rozpaczy i zgrozy, a w sonacie Beethovena — „jakiegoś wielkiego falowania,“ że „może utwory te posiadają dużo piękności, ale ja nie rozumiem ich i nie czuję.“ Co wobec tego protestu począć? Czy pozostawić obu kompozycyom miano arcydzieł, czy im je odebrać? Wprawdzie mocą takiego jednostkowego protestu szan. kronikarz usiłował kiedyś pozbawić nieśmiertelności największą z oper, *Don Juana* Mozarta, ale daremnie.

Nie radbym, ażeby zarówno p. Prus, jak czytelnicy *Prawdy* posądzili mnie o bałwochwalstwo dla *Cavallerii*. Przeciwnie, zgadzam się, że jest to utwór przechwalony, że oblatuje świat na skrzydłach reklamy (która zresztą pożycza dziś swych skrzydeł wszystkiemu), ale nie wydaje mi się słusznem twierdzenie, ażeby to był „młody karp z garniturem franków i lirów“ i ażeby postawiona przez p. Prusa zasada wyrokowania o arcydziełach muzycznych mogła zapobiedz grubym błędom. *Muzyk.*

Stanisław Krusiński.

Przed kilku laty zwróciły na siebie uwagę prace filozoficzne i socyologiczne młodegi pisarza, Stanisława Krusińskiego, a zwróciły ją słusznie. Nie ulega dla nas najmniejszej wątpliwości, że gdyby niektóre z nich ukazały się w języku angielskim lub niemieckim, imię mojego przyjaciela byłoby znane bardzo szeroko. Oryginalnością swoich poglądów i wyborem przedmiotu przypomina on znanego publicystę francuskiego, Guyau, z którym go zbliża jeszcze inna okoliczność: śmierć przedwczesna. Z prac zmarłego wymienimy krytykę Supińskiego; pierwszą surowszą w naszym języku odprawę, daną ideałom sielanki kilkumorgowej z ciągłymi zabiegami dokoła potrzeb brzucha; lecz przedewszystkiem rozprawy, poświęcone wykazaniu klasowego stanowiska wywodów Herberta Spencera. Możemy śmiało powiedzieć, że myśliciel angielski posiadał niewielu podobnie głębokich krytyków. Kr. wychodził z założenia, że jeżeli już chcemy jakieś społeczeństwo porównywać do organizmu, wolno nam to czynić jedynie z ustrojem w rodzaju zadrogi, gminy wioskowej itd., lecz nigdy z krajami kapitalistycznymi, które są zbiorowiskiem pasorzytniczem atomów ludzkich.

Grono przyjaciół zmarłego, korzystając z ukazania się w języku polskim prac Spencera, uznało za stosowne zebrać rozproszone rozprawy Krusińskiego i ogłosić je w jednej całości. Skłoniły ich do tego jeszcze inne pobudki. Żona Krusińskiego zmarła przed kilku miesiącami w najzupełniejszej nędzy w szpitalu jarosławskim; pozostała ośmioletnia dziewczynka bez żadnych środków utrzymania. Fundusz z rozprzedaży książki Krusińskiego jest przeznaczony właśnie dla dziecka. Prace zmarłego wyjdą w dwóch tomikach. Pierwszy ukaże się w grudniu i zawrze krytykę Spencera. Wejdą tutaj: organizm społeczny a biologiczny; czy społeczeństwa cywilizowane są organizmami; społeczeństwo a moralność; dusza społeczna. Szkice filozoficzne i ekonomiczne złożą się na tom drugi. Przedpłata (prócz kosztów przesyłki) na oba tomiki wynosi rubla; można też ją uiszczać za każdy tom oddzielnie. Po wyjściu cena będzie podniesiona. Przedpłatę główną przyjmuje „Księgarnia tanich wydawnictw,“ Szpitalna 5. *Lud. Krz.*

O PRAWDĘ.

Szanowny Redaktorze! Cenię wielce *Prawdę* za to, że widząc jakąś szczerbę w budowie społecznej, nie waha się uderzyć choćby w dzwon alarmowy, że wytyka wszystko, cokolwiek wydaje się jej szkodliwem i wadliwem, nie oglądając się bynajmniej na to, że może dotknąć i urazić kogoś, choćby bardzo sobie blizkiego. Stąd z całą ufnością występuję w jej łamach z tem, co, według mego przekonania, jest nader niewłaściwe w organizacyi dziennikarstwa naszego i przynosi literaturze znaczny uszczerbek. Mam tu na myśli niewłaściwość pewną w krytyce naszej. Wszędzie na świecie, gdzie pojmują całą ważność działu sprawozdawczego, sprawę regestrowania płodów literackich powierzają dłoniom umiejętnym, umysłom wytrawnym, przez odpowiednie studya estetyczne, znajomość dziejów literatury do zadania swego należycie przygotowanym. U nas tylko jednych berło krytyki oddaje się w ręce przyrostu piśmienniczego, który zazwyczaj do zawodu swego wnosi mało co więcej nad wysokie o własnym sądzie rozumienie. Stąd też u nas jednych widzimy to zjawisko, że krytyka bywa li tylko przedarciem danego utworu i wyrzuceniem go do... śmieci. Owo ryczałtowe rozpłatanie ma zastępować dyskcyę i analizę faktu piśmienniczego. Przykładem tego może służyć krytyka mego dramatu fantastycznego *Boruta*, pióra p. Drogomira, pomieszczona w nr. 45 *Prawdy*. Długa to tyrada na temat *a priori*, że „autor *niezbyt szczęśliwie* dał się skusić fantastycznym, pełnym poezyi tematem.“ Na potwierdzenie tego p. Drogomir, nazywając typy staropolskie „banalnymi,“ opowiada nader niezręcznie treść dramatu, składając dowód, że go nawet nie odczytał uważnie (nic dziwnego, przy tylu ważniejszych dla siebie, jako sprawozdawcy ekonomicznego, zajęciach!). W dalszym ciągu dramat mój porównywa z baletem „Pan Twardowski“ i fantazyę aktu III gani dlatego, że „przekracza granice podań ludowych.“ Że przekracza ową granicę, zgoda, bo też całe podanie o Borucie, według krytyka dotychczas żywo zachowane śród ludu łęczyckiego“ (skąd raczy wiedzieć o tem?) — u ludu nie istniało; jest to podanie czysto szlacheckie i szczegóły i barwy do dramatu zaczerpnięte zostały z demonologii szlacheckiej... Ganiąc z jednej strony „przekroczenie granic podań ludowych“ p. Drogomir, jako konsekwentny realista, dziwi się, że autor „mocą złych duchów nie napełnił tylko wyobraźni swych postaci przesądnych.“ Recepta na dramatyzowanie podań i klechd co najmniej... oryginalna!

Że młodociany krytyk obszedł się z utworem moim niby z elukubracyą jakiegoś grafomana, nie dziwi mię ani trochę. Jest to charakterystycznem znamieniem jego wieku, że w nim dla braku należytego rozwoju, wiedzy i doświadczenia życiowego popuszcza się wodze pewnym instynktom niszczycielskim, które istnieją w nas w stanie szczątkowym, jako spadek po prapradziadach troglodytach. W tym okresie życia ciętość stylu wydaje się (samym autorom) zdolnością, lekceważenie i potępienie wszystkiego w czambuł samodzielnością zdania i charakteru. Są jednakże położenia, w których ów pozornie niewinny sporcik jest ciężkim grzechem. W ostatnich czasach rzucono na rynek czytelniczy ze złą wolą i świadomością złego taką masę tandety, wydzierającej czytelników szczerej i uczciwej produkcyi piśmienniczej, że tacy rąbiący krzyżową sztuką krytyczkowie wielką szkodę przynoszą. Wobec tego możeby godziło się nie puszczać ich na arenę, na której sprawiedliwość i dobro literatury wymagają koniecznie kompetencyi, rozmysłu, rozwagi i... sumienności.

Proszę przyjąć zapewnienie szczerego szacunku i poważania.

Bronisław Grabowski.

Częstochowa 10 listopada 1891 r.

Odezwa p. Bronisława Grabowskiego jest znamiennem świadectwem nietykalności naszych powag literackich. Wolno składać im hołdy, dymem kadzidła otaczać, ale nie wolno, chociażby bardzo ostrożnie, tknąć płodów ich ducha nawet wtedy, gdy są niedoskonałe. Miałem zawsze wielkie uznanie dla p. Grabowskiego i jego pracy; nie pozbawiało to mię jednak zdolności odróżniania rzeczy słabszych od silnych i stąd powstały moje zarzuty w ocenie jego ostatniego dramatu. Gdyby jakiś „wytrawny,“ „doświadczony“ krytyk, nienależący do „przyrostu piśmienniczego,“ obszedł się o wiele surowiej, niż ja, z *Borutą*, autor pominąłby uwagi jego milczeniem i nie odmówiłby mu „kompetencyi, rozmysłu, rozwagi i sumienności.“ Ponieważ uczynił to „młodociany“ krytyk, p. Grabowski obrzucił go przezwiskami, które nie powinny byłyby wyjść z ust wytrawnego i powściągliwego autora. I ja zatem na tej podstawie muszę potwierdzić fakt istnienia pewnych instynktów w stanie szczątkowym po „prapradziadach,“ może tem silniej tkwiących w obrażonym autorze, że stoi o jedno pokolenie bliżej, niż ja, tych protoplastów.

Dziwi mię, że autor, który tak ceni każde swe zdanie, wypowiada je lekko i gołosłownie o młodszych od siebie pisarzach. Czy „należyty“ rozwój, wiedza i doświadczenie życiowe przystępne są tylko tym, którzy dźwigają na sobie piąty lub szósty krzyżyk? Takie udzielanie świadectw dojrzałości, ściśle związane z latami, praktykowane było dotąd tylko śród majstrów cechowych. Na zakończenie, wbrew twierdzeniu p. Grabowskiego, muszę dodać, że podanie o Borucie dziś jeszcze bardziej jest znane ludowi łęczyckiemu, niż szlachcie miejscowej, o czem łatwo się przekonać na miejscu.

Drogomir.

Do tej polemiki dodamy od siebie, że dopóki świadkiem, obwiniającym „młodocianego“ krytyka będzie tylko *Boruta* i jego ojciec, dopóty ubolewania p. Grabowskiego mają zaledwie znaczenie osobistej skargi, a nie bezstronnego wyroku nawet w sprawie jego własnego utworu. *Red.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Komitet Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w celu polepszenia bytu urzędników, dyetaryuszów i oficyalistów swoich i wynagradzania za 10-letnią służbę nieskazitelną, postanowił na zebraniu ogólnem utworzyć osobny kapitał pod nazwą „funduszu zasługi“ (dlaczego taka nazwa patryarchalna?). Nie ulega on aresztom. Z chwilą powstania jego ustaje udzielanie dotychczasowych zasiłków i wsparć, z wyjątkiem tylko zapomóg na koszty pogrzebu zmarłych urzędników lub członków ich rodzin.

— Komitet Tow. kredytowego, uwzględniając trudne położenie ziemian, stara się o ograniczenie wydatków. W tym celu koszty administracyjne będą pokryte z odsetek od funduszu (własności Towarzystwa). Stowarzyszeni przy racie obecnie wnoszonej, wolni są od tego wydatku, dzięki czemu rata jest zmniejszona. Koszty zjazdu delegatów, czy to w razie klęski nieurodzaju, czy ognia itp., w celu zbadania stanu dóbr, ograniczono do 6-ciu w stosunku włók 50.

— Nowe przepisy fabryczne o robotnikach, dotyczące utworzenia funduszu pomocy z kar, będą stosowane także do mniejszych zakładów fabrycznych i przemysłowych, tudzież warsztatów. Wszelka działalność pracodawców w stosunku do pracowników będzie podlegać kontroli.

— W kilku fabrykach warszawskich wprowadzono zwyczaj wypłacania robotnikom tygodniowej należności w poniedziałki. Podobno, jak zapewnia *Kur. warsz.*, wpłynęło to dodatnio na dobrobyt i stan moralny robotników, a inspekcya fabryczna zamierza zażądać od wszystkich pracodawców takiej zmiany.

— Z szeregu środków przeciw pożarom zastosowano w kilku miastach Królestwa Polskiego następujący: Tam, gdzie nie ma urządzeń wodociągowych, upoważniono władze policyjne, aby zobowiązywały wszystkich woziwodów, pod groźbą kar i odebrania procederu, do ustawiania na noc (od 8 wieczorem do rana), beczek z wodą na placach publicznych lub ulicach, w miejscu wskazanem przez policyę.

— W Berlinie utworzono pod opieką rządową biuro centralne dla urządzeń, mających na celu podniesienie dobrobytu klas pracujących. Rozpocznie ono czynności od 1 stycznia r. p.

— We francuskiej izbie deputowanych Bovier-Lapierre ponowił wniosek, raz już przyjęty przez izbę, a odrzucony przez senat, aby syndykatom robotniczym dać swobodę działania i pociągnąć do odpowiedzialności prawodawców, którzy ją krępują.

Szkoły. Wkrótce w Petersburgu ma być otwarta szkoła niższych mechaników fabrycznych, utrzymywana z funduszów prywatnych.

— W Buczaczu wkrótce będzie założone nowe gi-[illegible]

— Według reskryptu ministra oświaty w Prusach wszystkim dzieciom nawet pochodzenia niemieckiego, na żądanie rodziców wolno jest pobierać naukę języka miejscowego w szkołach poznańskich.

Sprawy kolejowe. Okazało się, iż niektórzy z pomocników stacyj kolejowych, wbrew wyraźnemu przepisowi, zaniedbują czasami ważny obowiązek osobistego sprawdzania, czy zwrotnice prawidłowo są nastawione. Z tego powodu wkrótce będzie wydana dodatkowa instrukcya. Między innemi ma być wprowa-

dzony rygor, że jeżeli dyżurny, pomocnik zawiadowcy, nie dopełni kontroli nastawienia zwrotnicy, to chociażby wypadek nie nastąpił, winny niedbalstwa, oprócz uwolnienia ze służby, będzie pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

— Komitet taryfowy postanowił zniżyć do $^1/_{100}$ na wszelkie przestrzenie taryfy przewozowe na kartofle do Królestwa Polskiego i gub. grodzieńskiej, gdzie z powodu słabego urodzaju zapotrzebowanie bardzo jest wielkie.

— Według ostatniego postanowienia, budowa nowej kolei Nadnarwiańskiej dokonywać się będzie sposobem administracyjnym jednocześnie z dwóch stron: na oddziałach Łapy-Ostrołęka i Małkinia-Ostrołęka. Roboty około samej linii i zabudowań rozpoczną się na wiosnę. Do robót ziemnych zamówiono 3,000 kopaczów łotyszów z gub. witebskiej i 200 murarzów z gub. kałuzkiej.

— W Ministeryum komunikacyi złożono projekt urządzenia na przystankach budynków dla pasażerów.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich opracował projekt zniżenia opłat pasażerskich na swych liniach. Na początek postanowiono zniżyć cenę biletów na linii Kijowsko-Grajewskiej.

— Z powodu podrożenia produktów spożywczych, na kolei Terespolskiej zaprojektowano udzielić pracownikom zapomogi, lecz tylko pobierającym pensye nie wyższe nad 600 rs. rocznie. Żonaci mają otrzymać 15% w stosunku rocznej pensyi, kawalerowie, o ile utrzymują rodziny — 10%.

Telefony. Główny zarząd poczt i telegrafów czyni starania o uzyskanie specyalnego kredytu na urządzenie sieci telefonicznych rządowych w różnych miastach w obrębie państwa.

Wystawy. Na wystawie narzędzi ogniowych w Petersburgu będą wystawione pomiędzy innemi wzory ubiorów ogniotrwałych dla aktorów.

— W Wiedniu zapowiedziano na wiosnę wystawę historycznego rozwoju książki.

— Wystawy rolniczo-narodowe odbędą się w Filipopolu (r. 1892) i Ruszczuku (r. 1893).

— W Glasgowie otwarto wystawę elektryczności.

— W Spalt odbyła się wystawa chmielarska.

Zjazdy. Zarządy tutejszych kolei otrzymały zaproszenie do przyjęcia udziału w zjeździe górników i przemysłowców w Charkowie 13 b. m.

— W Petersburgu odbędzie się w r. p. zjazd fabrykantów krochmalu.

— W Dreznie odbył się zjazd numizmatyków niemieckich.

— W Eisenach odbył się zjazd delegatów związków Froeblowskich w Niemczech.

Konkursy. Na wystawie narzędzi ogniowych w Petersburgu ogłoszone będą następujące konkursy z nagrodami: 1) za najlepszy typ przyrządu zawiadamiającego o pożarze, 2) za najlepszy i najtańszy typ sikawki ręcznej i 3) za najlepszą drabinę ratunkową.

Przemysł i handel. Wobec ułatwień, uczynionych przez rząd francuski dla wywozu owiec ruskich, tworzy się Towarzystwo eksportowe francusko-ruskie z kapitałem pięć milionów franków.

— W Warszawie od nowego roku powstaje biuro, w którem za osobną opłatą prowadzone będą księgi handlowe tym kupcom i przemysłowcom, którzy z powodu małego obrotu handlowego nie mogą opłacać oddzielnych buchhalterów. *Kur. warsz.* słyszał, iż około 50 firm złożyło już deklaracye.

Bankructwa. We Lwowie ogromne wrażenie wywołało bankructwo Izraela Libermana, przedsiębiorcy kopalni wosku ziemnego w Borysławiu. Pasywa 628000 zł., aktywa — 1,200,000 złr.

Zmarli. Piotr Kaczorowski, w Warszawie, jeden ze starszych artystów, restaurator dzieł malarskich.

— Aleksander Ładnowski, w Krakowie. Aktor i autor obrazków scenicznych.

— Ks. Konstanty Czartoryski, wice-prezes izby panów w Wiedniu.

— Malwina v. Humbracht, powieściopisarka (pseudonim Luiza Ernesti).

— Emil Accolas, autor francuski w zakresie prawa.

— Gilbert à Becket angielski pisarz dramatyczny.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29 Дозволено Цензурою, Варшава 1 Ноября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.